

GERHART
HAUPTMANN.



WOŹNICA

HENSZEL

Sztuka w 5-ciu aktach.

WARSZAWA.

1900.

Wydawnictwo Władysława Okręta.

GERHART HAUPTMANN.

WOŹNICA HENSZEL

SZTUKA W 5-CIU AKTACH

przełożył

GABRYJEL KEMPNER.

WARSZAWA

Wydawnictwo Władysława Okręta.

1900.

Druk E. Lubowskiego i Ski Szpitalna Nr. 10.

5152

4544
36

LP II 13 A c 2

39502
I

"Россошанская" Варш. 26. IV 36

1,50 ж.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 5 Апрѣля 1899.



10,00

X-115496
39502 I

WOŹNICA HENSZEL.

OSOBY:

SIEBENHAR, właściciel hotelu pod „Szarym Łabędziem”

KAROLEK, jego syn.

HENSZEL, woźnica.

AMALJA HENSZEL, jego żona.

HANNA SCHÄL, służąca u Henszlów.

BERCIA.

WERMELSKIRCH, oberżysta.

PANI WERMELSKIRCH.

FRANIA, ich córka.

JERZY, kelner.

WALTER, szwagier Henszla, handlarz koni.

GRUNERT, weterynarz.

FABIG, kramarz.

HILDEBRANT, kowal.

HAUFFE, parobek Henszla.

FRANCISZEK, stangret Henszla.

Członek Straży ogniowej.

Rzecz dzieje się w małej miejscowości kąpielowej
szlaskiej, w hotelu pod „Szarym Łabędziem”
około 1860 r.

AKT PIERWSZY.

Mieszkanie chłopskie w suterrenach, w hotelu pod „Szarym Łabędziem”. Przez dwa górne okna na lewo pada światło. Zmrok dnia zimowego. Pod oknami stoi łóżko drewniane, politurowane na żółto, w którym leży chora Henszłowa. Jest to kobieta, mająca około 36 lat. Niedaleko łóżka kołyska, w której leży jej półroczna córeczka. Drugie łóżko przy tylnej ścianie. Ściany malowane na niebiesko, przy suficie ciemny pas. Na prawo, na przodzie wielki brunatny piec kaflowy z ławą. W obszernem palenisku nałożono wiele drzewa opałowego, porąbanego na małe kawałki. We drzwiach na prawo małe drzwi do komory. Hanna Schäl, młoda, zręczna, dobrze zbudowana służąca bardzo zajęta. Zdjęła drewniane chodaki, które stoją na boku i biega w grubych niebieskich pończochach. Wyjmuje z pieca (z rury) żelazny garnek, w którym coś się gotuje i wstawia go tam napowrót. Spódnice Hanny związane są w węzeł, gorset czarno-szary; żyłaste ramiona nagie. Piec z góry dokoła otacza czworograniasty drag. Suszą się na nim zawieszane t. zw. pończochy myśliwskie, pieluchy, spodnie skórzane i buty wysokie. Naprawo od pieca szlaban i szafa; meble te są stare, kolorowe, w stylu szlaskim. Przez otwarte drzwi w tylnej ścianie widać ciemny szeroki kurytarz, a naprzeciwko szklane drzwi o kolorowych szybach. Po za temi ostatnimi drzwiami drewniane schody, prowadzące na górę. Na schodach tych zawsze pali się gaz, tak, że przez szyby przegląda światło. Koniec Łutego; na dworze wieher.

Franciszek młody chłopiec w skromnej liberyi stangreta, ubrany do wyjazdu, zagląda.

FRANCISZEK.

Hanno!

HANNA.

Co?

FRANCISZEK.

Czy Henszlowa śpi?

HANNA.

Czego tam? Nie hałasuj!

FRANCISZEK.

Drzwi przecież i tak dosyć trzaskają. Jeżeli się od tego nie obudziła! Jadę do Waldenburga karetą.

HANNA.

Kogóż wieziesz?

FRANCISZEK.

Panią po sprawunki na urodziny.

HANNA.

Czyje to urodziny?

FRANCISZEK.

Karolka.

HANNA.

Ładne zwyczaje! Zaprzęgać konie dla takiego smarkacza! Przyznam się, że nie rozumiem, żeby jeździć na taki czas do Waldenburga.

FRANCISZEK.

Mam przecież futro.

HANNA.

Nie wiedzą już, jak pieniądze wyrzucać. A my tu musimy harować.

Pojawia się weterynarz Grunert, idzie wolno, macając po korytarzu. Mały człowieczek w czarnym kożuchu baranim, na głowie baszłyk, pod nim czapka, wysokie buty. Uderza biczykiem w ramę drzwi, dając znać o sobie.

GRUNERT.

Czy Henszla niema w domu?

HANNA.

A bo co?

GRUNERT.

Przychodzę względem wałacha.

HANNA.

To pan jesteś doktór z Freiburga? Nie ma Henszla. Pojechał do Freiburga z towarem. Musiałeś go pan spotkać.

GRUNERT.

W której stajni wałach stoi?

HANNA.

To ten wielki kasztan z łąką. Stajnie tuż w podwórzu.

Do Franciszka.

Mógłbyś iść z panem i pokazać.

FRANCISZEK.

Niech pan przejdzie prosto przez podwórze, stajnia jest pod salą, wprost mieszkania stangretów. Zapytaj się Pan Fryderyka, on pokaże.

Grunert wychodzi.

HANNA.

Idźże z nim!

FRANCISZEK.

Czy nie masz paru groszy?

HANNA.

Tybyś chciał zebym swoją skórę sprzedawa dla ciebie.

FRANCISZEK.

łechce ją.

Ja ją kupię.

HANNA.

Cicho! Gospodyni się obudzi!

Szuka pieniędzy.

Zawsze musisz mi wyludzić parę czeskich. Inaczej nie dasz mi żyć. — Masz!

Wciska mu coś w rękę.

A teraz — wynos się.

Słuchać dzwonek.

FRANCISZEK

przerażony.

Gospodarz. Adiu!

Ucieka.

HENSZŁOWA

budzi się i mówi słabym głosem.

Dziewczyno! dziewczyno! dziewczyno! Czy nie słyszysz dziewczyno?

HANNA

grubiańsko.

Co tam?

HENSZŁOWA.

Żebyś słuchała, gdy cię wołam!

HANNA.

Przecie słucham, ale gdy pani tak cicho mówi, to nie mogę usłyszeć. Mam tylko dwoje uszów.

HENSZŁOWA.

Znowu zaczynasz po grubiańsku, dziewczyno!

HANNA.

Jak się tam pani podoba.

HENSZŁOWA.

Czy to tak ładnie pyskować przy chorej kobiecie?

HANNA.

A kto zaczyna? Jak tylko się pani obudzi, zaraz pani wymyśla. Nigdy człowiek pani nie dogodzi, cokolwiek uczyni.

HENSZŁOWA.

Bo nie jesteś posłuszna.

HANNA.

To niech sobie pani sama lepiej zrobi. Człowiek morduje się przez cały dzień i pół nocy. Ale jeżeli tak, to wolę sobie pójść swoją drogą.

Rozwiązuje spódnice i wybiega.

HENSZŁOWA.

Dziewczyno, Dziewczyno!

Pauza.

Nierób mi tego jeszcze.... Cóż ci złego powiedziałam? — O Jezu, o Jezu! Co to będzie, jak mężczyźni przyjdą! Będą chcieli jeść — dziewczyno — dziewczyno —

Pada wyczerpana, jęczy cicho i buja za pomocą wstażki kołyskę.

KAROLEK

wchodzi z trudnością przez tylne drzwi szklane. Niesie garnek rosółu, poruszając się bojaźliwie i ostrożnie, idzie do łóżka Henszłowej, gdzie stawia garnek na krześle drewnianem.

HENSZŁOWA.

Karolku. To ty? Cóżś to przyniósł?

KAROLEK.

To rosół! Mama się kłania i życzy polepszenia zdrowia. I żeby pani smakowało.

HENSZŁOWA.

Mój chłopczyku, jakiś ty dobry! — Rosół z kury, słowo daję. Powiedz też mamie, że jej bardzo pięknie dziękuję. — Ale czy nie zapomnisz? — A teraz słuchaj! Czy chcesz mi zrobić grzeczność? Wejdź no na ławkę i wyciągnij bliżej garnek żelazny. Dziewczyna wyszła, a wstawiła go za głęboko w rurę.

KAROLEK

*wchodzi chętnie na ławkę w piecu zagląda do rury,
pytając.*

Który to garnek proszę pani: czarny czy niebieski?

HENSZŁOWA.

A co tam jest w niebieskim?

KAROLEK.

Kwaszona kapusta.

HENSZŁOWA

zirytowana.

Wyciągnij go prędko. Rozgotuje się — Aj dziewczyno, dziewczyno!

KAROLEK

wyciągnął garnek naprzód.

Czy tak dobrze?

HENSZŁOWA.

Możesz go tak zostawić. Chodź no tu, podaruję ci ramię do bicia.

Zdejmuje go z pod okna i daje mu.

Jak się ma mama?

KAROLEK.

Pojechała do Waldenburga po zakupy dla mnie na urodziny.

HENSZŁOWA.

Mnie bardzo niedobrze chłopczyku. Pewnie umrę.

KAROLEK.

Nie! nie! Proszę pani!

HENSZŁOWA.

Tak, wierz mi, umrę, chłopczyku. Powiedz to odemnie mamie.

KAROLEK.

Wie pani? Dostanę baszłyk.

HENSZŁOWA.

Tak, tak! Wierz mi Zbliź się tu. Cicho! Uważaj! Czy słyszysz, jak stuka? Słyszysz jak stuka w spróchniałem drzewie?

KAROLEK

którego Henszłowa trzyma gorączkowo za rękę
Boję się proszę pani.

HENSZŁOWA.

To nic. Przecie wszyscy musimy umrzeć. Słyszysz, jak stuka, co? Prawda? To robak śmierci stuka.

Pada.

Raz, dwa — Aj, dziewczyno, dziewczyno!

KAROLEK

którego puściła, wychodzi bojaźliwie. W chwili, gdy chwytła za klamkę szklanych drzwi, przechodzi go nagle strach. Odrywa drzwi gwałtownie i trzaska

niemi, że aż szyby brzęczą. Po chwili słychać na dworze trzaskanie z biczów. Pod wpływem tych odgłosów, Henszłowa zrywa się raptownie.

HENSZŁOWA.

Stary idzie.

HENSZEL

którego jeszcze nie widać — w korytarzu.

No cóż zrobimy z tem bydlęciem doktorze?

Ukazuje się we drzwiach wraz z Grunertem.

GRUNERT.

Nie można do niego dojść! Trzeba go będzie ściągnąć.

HENSZEL

mężczyzna około 45 lat, zbudowany atletycznie, w czapce futrzanej, futrzana długa szuba, pod nią bluza furmańska, wysokie buty, zielone myśliwskie pończochy, bicz i zapalona latarka.

Nie wiem, co się stało temu bydlęciu. Wracam w tych dniach; naładowałem węgle kamienne tam w kopalni. Składam je, wyprzegam, prowadzę konie do stajni — w tej samej chwili zaczyna się rzucać i wali kopytami na wszystkie strony.

Stawia bicz w kącie, czapkę wiesza na kołku.

HANNA

powraca, bierze się na nowo do roboty, ale widocznie jest zła.

HENSZEL.

Dziewczyno! Zapal światło.

HANNA.

Nie wiadomo co naprzód zrobić!

HENSZEL

zawiesza latarnię, zgasiwszy ją.

Djabeł zgadnie, co to wszystko znaczy! Żona mi choruje, koń mi pada; wygląda to tak, jak gdyby się wszystko na mnie złożyło. — Tego walecha kupiłem na Boże Narodzenie od Godfryda Waltera: po dwu tygodniach kuleje. Nauczę ja tego franta! Dałem mu dwieście talarów.

HENSZŁOWA.

Czy deszcz pada?

HENSZEL

krótco.

Pada matko. — I to własny szwagier mnie tak oszwabił.

Siada na ławce przy piecu.

HANNA

zapaliła świecę łojową w lichtarzu blaszanym i stawia na stół.

HENSZŁOWA.

Ojciec! Ale ty też jesteś za dobry! Zanadto wszystkim ufasz.

GRUNERT

siada przy stole i pisze receptę.

Zapiszę coś z apteki dla konia.

HENSZŁOWA.

Żeby i kasztan jeszcze miał zdechnąć; tego to już chyba Pan Bóg nie dopuści!

HENSZEL

podsuwa nogę Hannie.

Chodź no, ściągnij mi buty! Nieźle wiatr dmuchał koło Freiburga. Ludzie gadają, że dach na kościele w kościelnej wsi do połowy zerwało..

Do Hanny.

A to się gramoli. Prędzej!

HENSZŁOWA

do Hanny.

Że się też nie możesz tego nauczyć!

HANNA

zdejma jeden but, stawia go na stronę, chwytą za drugi.

HENSZEL.

Cicho matko! i ty nie robisz lepiej!

HANNA

zdejma drugi but, odstawia go, szorstko do Henszla.

Czy mi pan przywiózł fartuch?

HENSZEL.

O czem że ja mam jeszcze pamiętać? — Kontent jestem, jeżeli mam wszystko, co mi jest potrzebne i odstawię na czas do kolei skrzynie. Nie troszczę ja się o babskie fartuchy!

GRUNERT.

Wiedzą o tem wszyscy.

HENSZŁOWA.

Tego by też brakowało!

HENSZEL

w chodakach drewnianych, wstając do Hanny.

Żywo, żywo! Dawaj jedzenie. Jeszcze dziś musimy zejść do kuźni.

GRUNERT

wstał, napisawszy receptę, którą zostawia na stole, chowa notatnik i ołówek, mówi zabierając się do wyjścia.

Trzeba to posłać do apteki. Jutro tu wcześniej zajrzę.

HENSZEL

siada przy stole.

HAUFFE

wchodzi wolno, w drewnianych chodakach i skórzanych spodniach, z zapaloną latarnią w ręku.

HAUFFE.

A to podły czas!

HENSZEL.

Jakże tam wygląda w stajni?

HAUFFE.

Kiepsko!

Gasi latarnię i wiesza ją obok latarni Henszla.

GRUNERT.

No, dobranoc! A teraz trzeba cierpliwie czekać. My doktorzy też tylko jesteśmy ludźmi!

HENSZEL.

Rozumie się! Wiemy o tem, wiemy! Dobranoc. A nie wywróć się pan gdzie!

Grunert wychodzi.

A teraz powiedz matko jak ci jest?

HENSZŁOWA.

Musiałam się znowu gniewać!

HENSZEL.

Z jakiego powodu?

HAUFFE

siada przy stole.

HENSZŁOWA.

Że nie mogę niczem zająć się w domu!!

HANNA

stawia na stół miskę khusek i miskę kapusty, wyjmując z szuflady widelce i kładzie na stół.

HENSZEL.

Od tego jest przecie dziewczyna.

HENSZŁOWA.

E! Co tam ona!

HENSZEL.

Wszak mamy co jeść; wszystko idzie jak należy. — Gdybyś nie była wstała za wcześnie, mogłabyś dziś już tańczyć.

HENSZŁOWA.

O Jezu! Tańczyć? Też wymyślił!

HANNA

przygotowała trzy talerze, na każdym kawalek wieprzowiny. Przystawia stołek dla siebie i siada do stołu.

HAUFFE.

Nie długo braknie już owsa.

HENSZEL.

Kupiłem w tych dniach trzydzieści worków.
Na sobotę przywiozą furę owsa. Pasza coraz droższa.

HAUFFE.

Jeżeli bydłota mają pracować, trzeba, żeby jadły.

HENSZEL.

A oni tam myślą, że bydłę żyje z powietrza.
Chce mi znowu urwać za przewóz.

HAUFFE.

Inspektor kąpielowy?

HENSZEL.

A któżby? Ale teraz mu się nie uda.

HENSZŁOWA.

Patrzcie! A to się już wszystko kończy. Cóż
my mamy począć na te ciężkie czasy?

HANNA.

Był tu dozorca szosowy. Kazał, żeby pan przy-
szła jutro konie do wielkiego walca. Są teraz
koło Hartau.

Po schodach, za drzwiami szklanymi schodzi pan Siebenhar, lat przeszło 40, ubrany z wielką starannością. Czarny sukienny tużurek, biała kamizelka, jasne spodnie angielskie, elegancyja z r. 1860. Osiwiałe włosy stanowią już tylko starannie ułożony wieniec na głowie. Wąsy duże jasno-blond. Siebenhar nosi złote okulary, gdy chce coś obejrzeć dokładnie, wkłada oprócz tego złote binokle. Typ inteligentnego człowieka.

SIEBENHAR

wchodzi trzymając blaszany lichtarz z niezapaloną świecą i pęk kluczy w prawej ręce; patrzy, zasłaniając lewą ręką wrażliwe oczy.

Czy Henszel powrócił?

HENSZEL.

Jestem panie Siebenhar.

SIEBENHAR.

Nie przeszkadzam. Jedz pan, jedz! Mam jeszcze coś w piwnicy do załatwienia. Rozmówimy się później.

HENSZEL.

Ależ panie, o co chodzi? Dla mnie? — Skończyłem właśnie.

SIEBENHAR.

Przyjdź pan lepiej za chwilę do mego mieszkania.
Wychodzi i zapala swoją świecę o palącą się na stole.

Chciałem tylko zapalić świecę. — W mojem biurze nikt nam nie przeszkodzi. — Jakże zdrowie pani Henszlowej? Czy rosół smakował?

HENSZLOWA.

Masz tobie! zapomniałam o nim.

SIEBENHAR.

Czy podobna?

HANNA

postrzega garnek z rosółem.

Prawda! Przecie tu stoi.

HENSZEL.

I w ten sposób baba chce wyzdrowieć. Zapomina jeść i pić.

SIEBENHAR

słychać silny wiatr.

Powiedz no pan; jak pan uważasz? Zaczynam się niepokoić! Żona moja pojechała do Waldenburga. Powietrze coraz gorsze.

HENSZEL.

Stąd się gorzej wydaje, aniżeli jest w istocie.

SIEBENHAR.

No! no! Nie należy szukać guza! Słyszysz pan, jak tam coś brzęczy? To jedno z wielkich okien, wychodzących na taras sali jadalnej; wiatr już je wybił. Straszna wichura!

HENSZEL.

Oj! Ludzie, ludzie!

HENSZŁOWA.

Będzie to znowu niemało kosztowało.

SIEBENHAR

odchodząc na lewo przez kurytarz piwniczny.

Tylko śmierć nic nie kosztuje.

Wychodzi.

HENSZEL.

I on ma niemało kłopotów na głowie.

HENSZŁOWA.

Ciekawam, czego znowu od ciebie chce, ojcze?

HENSZEL.

E! Nic! Zresztą — usłyszę.

HENSZŁOWA.

Żeby znowu nie żądał pieniędzy!

HENSZEL.

Nie gadaj głupstw, matko.

HANNA.

Ale jeżeli tak kiepsko z nimi, to dlaczego pani nosi kapelusze po cztery talary?

HENSZEL.

Stul buzię! Nie pytam cię o to. Wsadzaj nos do dzieży z ciastem, ale nie mieszaj się do innych. — Nie łatwo taki dom utrzymać. Przecie oni tylko przez dwa miesiące w roku coś zarabiają; przez resztę trudno związać koniec z końcem.

HAUFFE.

W dodatku jeszcze wybudował ten nowy dom.

HENSZŁOWA.

To go dobiło. Powinien był dać sobie z tem pokój.

HENSZEL.

Baby nie znają się na takich sprawach. Musiał budować, nie mógł inaczej. Dziś jest tu mnóstwo gości na kuracyi, dawniej nie było ani połowy. Ale wtedy ludzie mieli pieniądze, a dziś chcieli by wszystkiego na wpół darmo. — Nalej mi, chcę się wódki napić!

Podaje kieliszek.

HAUFFE

zwolna zamyka swój nóż składany, wstając.

Czterdzieści numerów, trzy wielkie sale, a w nich same szczury i myszy. Z czego tu wyciągnąć procent?

Wstaje.

FRANCISZKA WERMELSKIRCH

zagląda do pokoju. Żywa, 16-letnia dziewczyna. Długie ciemne spuszczone włosy. Ubranie nieco ekscentryczne. Biała, krótka spudniczka, bluzka wycięta śpiczasto, długa pstra szarfa. Ramiona obnażone, na szyi pstra wstążka ze złotym krzyżem.

FRANCISZKA

bardzo żywo.

Wszak tu był w tej chwili pan Siebenhar? Dobry wieczór państwu. Chciałam tylko spytać, czy nie był tu pan Siebenhar?

HENSZŁOWA

niegrzecznie.

Nie wiem. — Nie był tu.

FRANCISZKA

Nie był? Myślałam.

Stawia nogę na ławkę z kokieterją i zawiązuje trzewik.

HENSZŁOWA.

Pan Siebenhar, wiecznie pan Siebenhar. Co też pannę zawsze pan Siebenhar obchodzi?

FRANCISZKA.

Mnie? Nie! Tylko wiadomo, że on lubi wątróbki gęsie. Dziś właśnie są u nas w oberży, więc papa kazał mu to powiedzieć, — Co prawda, to i pan Henszel mógłby kiedy do nas przyjść.

HENSZŁOWA.

Proszę tylko, daj ty pokój memu mężowi! Jemu nie w głowie teraz chodzenie do oberży.

FRANCISZKA.

Ale dziś piwo świeżo nastawione!

HENSZEL

podczas gdy Hauffe się uśmiecha, Hanna śmieje się głośno.

Matko, proszę cię: nie mieszaj się do mnie! Gdybym chciał iść napić się piwa, nie pytałbym nikogo o pozwolenie; wierz mi!

FRANCISZKA.

Jakże tam zdrowie pani Henszłowej?

HENSZŁOWA.

Jutro przywiążę sobie szarfę i będę tańczyła na linie.

FRANCISZKA.

Będę tańczyła razem z panią. Potrafię to dobrze! Ćwiczę się zawsze na dyszlach.

HENSZEL.

Aha! Dla tego to wszystkie dyszle takie obwisłe.

FRANCISZKA.

Patrzajcie państwo, tak się robi, tak się balansuje.

Nasładowując ruchy linoskoczki, wychodzi przez drzwi tańcząc.

Prawa, lewa, prawa, lewa. Au revoir!

Wychodzi.

HAUFFE.

Ona zbzikuje, jeżeli prędko nie dostanie męża.

Wychodzi.

HENSZŁOWA.

Gdyby tak porządnie pracować musiała, to by jej to wyгнаło fanaberję z głowy.

HANNA.

Jej już nie wolno chodzić do Siebenharów; pani zabroniła.

HENSZŁOWA.

Ma rację. Zrobiłabym to samo.

HANNA.

Lata za Siebenharem, jak pies.

HENSZŁOWA.

Siebenhar powinienby wygnać tych ludzi. Ładne tam gospodarstwo się prowadzi, pełno zawsze dziewczyn, hołoty...

HENSZEL.

Co tam znowu gadasz, matko?

HENSZŁOWA.

No, w szynku.

HENSZEL.

I oni chcą żyć, równie jak my. Czy dla tego ma ich wygnać na ulicę? Wermelskirch zresztą niezły człowiek.

HANNA.

Ale jego baba, to stara czarownica.

HENSZEL.

Pomimo to, jeżeli regularnie płacą komorne — a już w żadnym razie nie można mieć do Wermelskircha pretensyi o tę dziewczynę.

Powstaje i pochyla się nad kołyską.

Przecie i my tu mamy takie maleństwo, a chyba przez nie nas stąd nie wyrzucą.

HENSZŁOWA.

O nie! Jeszcze czego. — Gucia śpi jak zabita, nie ma wcale ochoty się przebudzić.

HENSZEL

patrzy na kołyskę.

Takie maleństwo... No matko chyba nie myślisz na prawdę umierać.

Zdejmując czapkę z kolka.

Hanno! Okłamałem cię. Na wozie leży twój fartuch.

HANNA

prędko.

Gdzie?

HENSZEL.

W kielni! Idź i poszukaj.

Wychodzi środkiem. Hanna wchodzi do komory.

HENSZŁOWA.

Więc — jednak — przywiózł jej fartuch.

HANNA.

wraca prędko, i wychodzi przez środkowe drzwi.

HENSZŁOWA.

Więc — jednak — przywiózł jej — fartuch.

SIEBENHAR

*wchodzi ostrożnie, jak wyżej, niosąc świecę, klucze,
oprócz tego dwie butelki czerwonego wina.*

SIEBENHAR.

Pani Henszłowa sama?

HENSZŁOWA.

Więc — jednak..... far.....

SIEBENHAR.

To ja! Pani się myli....

HENSZŁOWA.

Wątpię — bardzo.

SIEBENHAR.

Czy pani przeszkodziłem? To ja Siebenhar.

HENSZŁOWA.

Wiem, wiem.

SIEBENHAR.

Przyniosłem pani trochę wina! To pani pomoże. Może mnie pani nie poznaje?

HENSZŁOWA.

Poznaję! — Jeszczeby też. — Przecie pan jesteś — Wiem, wiem. Przecie pan jesteś nasz pan Siebenhar. Jeszcze nie tak źle zemną. Znam pana chyba... Nie wiem czy mi się śniło, czy co?

SIEBENHAR.

Możliwe to bardzo. Jak się pani czuje?

HENSZŁOWA.

Naturalnie — przecie to pan Siebenhar.

SIEBENHAR.

A pani pewnie myślała, że to mąż?

HENSZŁOWA.

Nie wiem — nie mogę tego — na prawdę powiedzieć. Tak mi się jakoś zrobiło.

SIEBENHAR.

Niewygodnie pani leży. Poprawię pani poduszkę. Czy doktor regularnie panią odwiedza?

HENSZŁOWA.

Nie wiem: zostawiają mnie samą, jak psa. — Nie, nie. Pan jesteś Siebenhar — wiem! Słuchaj pan! Powiem panu coś; byłeś zawsze dla mnie dobry. Masz dobre serce. Panu mogę to powiedzieć: boję się strasznie! Myślę sobie ciągle, że to już zadługo dla niego trwa.

SIEBENHAR.

Co trwa za długo?

HENSZŁOWA

wybuchając płaczem.

Za długo żyję... Ale co się stanie z Gucią?

SIEBENHAAR.

Ależ droga pani Henszłowo! Co też pani gada?

HENSZŁOWA.

cicho tłumiąc płacz.

Co się stanie z Gucią, gdy umrę?

SIEBENHAR.

Słuchaj pani: przecie z ciebie rozsądna kobieta. Otóż niech pani uważa co powiem. Gdy się jest zmuszoną leżeć w łóżku tak tydzień za tygodniem, jak pani, niestety, przychodzą człowiekowi różne głupie myśli. Głupstwa kręcą się po głowie. Ale trzeba być rezolutną, moja pani. A to pięknie! Takie historie! Trzeba je sobie z głowy wybić. To są brednie!

HENSZŁOWA.

Moi ludzie! Nie chcecie wierzyć. Wiem, co mówię.

SIEBENHAR.

Ej, nie wiesz pani! Nie wiesz w tej chwili, a później, gdy sobie to kiedy przypomnisz, będziesz się sama śmiała. Z pewnością,

HENSZŁOWA

wybuchając namiętnie.

Przecie chodził do niej do komory.

SIEBENHAR

nadzwyczaj zdumiony z niedowierzaniem.

Kto? kto taki?

HENSZŁOWA.

Mąż mój — do tej dziewczyny.

SIEBENHAR.

Mąż pani? — Do Hanny? Słuchaj pani. Kto ci to powiedział, ten jest podłym kłamcą.

HENSZŁOWA.

A jednak gdy umrę, on się z nią ożeni.

HENSZEL

ukazuje się we drzwiach.

SIEBENHAR.

Cierpisz na imaginację, moja pani.

HENSZEL

dobrodusznie, zdumiony.

Co się stało? Amalko! Czego becysz?

SIEBENHAR.

Nie trzeba zostawiać żony samej, panie Henszel.

HENSZEL

zbliża się troskliwie do łóżka.

Czy ci kto co złego zrobił?

HENSZŁOWA

odwraca się gniewnie od męża, twarzą ku ścianie.

Daj mi pokój!

HENSZEL.

Co to znaczy?

HENSZŁOWA

duszając się od łez, zanosi się.

Odejdź!

HENSZEL

Stoi zdumiony, patrzy pytająco na Siebenhara, ten ostatni kiwa głową, czyszcząc binokle.

SIEBENHAR

cicho.

Daj pan jej teraz pokój!

HENSZŁOWA

jak wyżej.

On by chciał, żebym już pod ziemią była!

SIEBENHAR

do Henszla, który chce wybuchnąć.

Pst! Zrób pan to dla mnie! Cicho!

HENSZŁOWA.

Wszak człowiek ma oczy. Nie jest ślepy. Nikt mi dopiero gadać nie potrzebuje. Na nie się już nie zdam. Powinnam się wynosić.

HENSZEL

zmuszając się z trudnością do pokoju.

Co to znaczy, — Amalko!

HENSZŁOWA.

Tak, tak! Udawaj!

HENSZEL

doprowadzony do ostateczności, bezradnie.

Powiedz mi, chociaż...

HENSZŁOWA.

Niech się dzieje co chce... Nie pozwolę się oszukiwać. Ukrywajcie się, jak chcecie. Widziałam przez ścianę. Widziałam was. Nie, nie! Myślicie, że żonę to łatwo oszukać. Widziałam! Jedno ci tylko powiem: jeżeli ja umrę, to i Gucia wraz zenną umrze. Zabiorę ją. Lepiej ją uduśić, niż oddać takiej przeklętej dziewczce!

HENSZEL.

Matko! Co ci się stało?

HENSZŁOWA.

Chciałby, żebyin już pod ziemią była.

HENSZEL.

Przestań, przestań — bo się rozgniewam.

SIEBENHAR

cicho ostrzegając go.

Spokojnie! Pamiętaj pan, że ona chora!

HENSZŁOWA

która dosłyszala.

Chora? Przez kogo się rozechorowałam? Przez tych dwoje: przez tę dziewczkę i ciebie.

HENSZEL.

Chciałbym przynajmniej wiedzieć, do djabła, kto ci też to głupstwo wbił w głowę. Ta dziewczyna

i ja? Niech piorun trzaśnie, jeżeli się mamy ku sobie?

HENSZŁOWA.

A czy nie przywozisz jej fartuchów i wstążek?

HENSZEL

na nowo bezradny.

Fartuchów i wstążek.

HENSZŁOWA.

Tak! Fartuchów i wstążek!

HENSZEL.

A to się już wszystko kończy na świecie!

HENSZŁOWA.

Czy wszystko, co ona robi, nie jest podług ciebie piękne i dobre? Czy dajesz jej kiedy choćby jedno złe słowo? Czy nie jest ona już, jakby panią w tym domu.

HENSZEL.

Matko! Bądź cicho! Tyle ci tylko mówię!

HENSZŁOWA.

Musisz milczeć, bo nie wiesz, co powiedzieć!...

SIEBENHAR

przy łóżku.

Trzeba zapanować nad sobą pani Henszłowo! To wszystko wyssane z palca!

HENSZŁOWA.

I panieś nie lepszy i pan robisz tak samo! Biedne kobiety, giną przez to.

Spokojnie płacząc.

Niech sobie przepadają.

SIEBENHAR

*śmieje się krótko z przymusem, idzie do stołu i otwiera
z rezygnacją butelekę czerwonego wina.*

HENSZEL

usiadł na krawędzi łóżka, starając się ją udobruchać.

Matko! Matko! Odwróć że się przecie. Chcę ci powiedzieć w dobroci.

Zmusza ją dąbrotliwie, aby się odwróciła.

Widzisz matko przysniło ci się coś. Miałas jakiś sen. Każdemu się coś przysni przecie, ale teraz obudziłaś się! Rozumiesz matko? Plotkaś tu takie brednie, że zawałiłby się pod niemi chyba największy wóz frachtowy, gdyby je na niego naładować. Jeszcze mi się od tego w głowie kręci.

SIEBENHAR

*który tymczasem szukał szklanki i znalazł ją,
nalewa wino.*

I mnie pani kazanie wypaliła.

HENSZEL.

Niech pan jej tego nie ma za złe. A to baba! Trzeba już z nią cierpieć! A teraz, — zbierz siły i wracaj do zdrowia jaknajprędzej, bo inaczej powiesz mi jeszcze kiedy, żem gdzie konie ukradł.

SIEBENHAR.

Wypij pani to wino, nabierzesz sił.

HENSZŁOWA.

Żeby to można wierzyć!

Siebenhaar podtrzymuje ją gdy pije.

HENSZEL.

Co znowu?

HENSZŁOWA

Pijąc, nieśmiało.

Czy mógłbyś mi przyrzec?

HENSZEL.

Wszystko, czego tylko zechcesz.

HENSZŁOWA.

Gdy umrę, czy się z nią ożenisz?

HENSZEL.

Nie zadawaj głupich pytań.

HENSZŁOWA.

Tak, czy nie?

HENSZEL

Z Hanną?

Żartuje.

Naturalnie!

HENSZŁOWA.

Mów poważnie!

HENSZEL.

Czy słyszysz, Panie Siebenhar? — Co to ma
znaczyć? Przecie nie umrzesz!

HENSZŁOWA.

Ale gdybym umarła!

HENSZEL.

I wtedybym się z nią nie ożenił. Otóż widzisz!
Wiesz już teraz. A zatem koniec!

HENSZŁOWA.

Czy możesz mi to przyrzec?

HENSZEL.

Co takiego?

HENSZŁOWA.

Że nie weźmiesz tej dziewczyny.

HENSZEL.

Przyrzekam ci na pewno!

HENSZŁOWA.

Dajesz mi na to rękę?

HENSZEL.

Wszak ci powiedziałem!

Kładzie swoją rękę w jej rękę.

Ale teraz dosyć! Nie zajmuj mnie więcej takimi rzeczami.

Koniec aktu pierwszego.



AKT DRUGI.

Piękny dzień majowy. Przed południem. Pokój z pierwszego aktu. Łóżko, na którem Henszłowa leżała, wyniesione. Okna, pod któremi stało łóżko, otwarte.

HANNA

pierze z zakasanemi rękawami przy balji, z twarzą zwróconą do okna.

FRANCISZEK

bez surduta, w zakasanych rękawach koszuli, w założonych spodniach, nagie nogi w drewnianych chodakach, wchodzi z drewnianym kubelkiem do mycia wozów.

FRANCISZEK

głupkowskim tonem, wesoło.

Hanno, przyszedłem cię odwiedzić. — A oprócz tego, czy nie masz trochę ciepłej wody?

HANNA

rzuca do balji szorstko białiznę, którą ma na desce: idzie do pieca.

Nie łaż tu tak często!

FRANCISZEK.

A to dlaczego?

HANNA

nalewa mu do kubła gorącej wody.

Nie pytaj się ciągle. Nie mam czasu!

FRANCISZEK.

I ja nie próżnuję, właśnie myję brykę.

HANNA

gwałtownie.

Daj mi pokój raz na zawsze, jużem ci to tyle razy mówiła!

FRANCISZEK.

Cóżem takiego zrobił?

HANNA.

Nie łaż za mną!

FRANCISZEK.

Czy już zapomniałaś co było między nami?

HANNA.

Nic nie było między nami. Co było takiego? Ja chodzę swoją drogą, ty swoją! Tak jest między nami a nie inaczej!

FRANCISZEK.

A to nowiny!

HANNA.

Dla mnie to bardzo stare.

FRANCISZEK.

Widzę, widzę! — Hanno co się to stało?

HANNA.

Nic! Nic! Daj mi święty pokój!

FRANCISZEK.

Czy możesz się na mnie skarżyć? Czy nie byłem ci zawsze wierny?

HANNA.

Ha! Dla mnie! — Co mnie to obchodzi? włócz się z kim ci się tylko podoba! wszystko mi jedno!

FRANCISZEK.

Od kiedyż to?

HANNA.

Od wieków!

FRANCISZEK

rozżalony, płaczącym głosem.

Przecie kłamiesz, Hanno.

HANNA.

Tylko ty mi tak nie zaczynaj! To nie jest sposób na mnie. Nie pozwalam sobie zarzucać kłamstwa. Krótko i węzłowato: niech się to skończy! Jeżeli masz taki kapuściany łeb i nie nie możesz pojąć, muszę ci wyraźnie powiedzieć: między nami wszystko skończone!

FRANCISZEK.

Czy na prawdę?

HANNA.

Skończone między nami, uważaj dobrze Franku

FRANCISZEK.

Uważam!

*Coraz bardziej rozdrażniony. W końcu raczej płacząc,
niż mówiąc.*

Nie myśl, że jestem tak głupi. Jużem to dawno uważał. Ale myślałem, że ci rozum wróci....

HANNA.

Tak się też stało!

FRANCISZEK.

Jak tam chcesz! Ze mnie holysz, co prawda, a Henszel ma skrzynię pełną złota. Otóż rzeczywiście, jeżeli się zastanowić, to rozum ci wrócił.

HANNA.

Skoro tylko tak zaczynasz, wszystko zupełnie dla ciebie przepadło.

FRANCISZEK.

A czy to nieprawda? Czy się to nie starasz, żeby koniecznie zostać panią Henszlową? — Nie prawdę mówię, co?

HANNA.

To moja rzecz! To ciebie nie obchodzi. Niech każdy dba o siebie.

FRANCISZEK.

A gdybym też tak tylko dbał o siebie i poszedł do Henszla i powiedział mu: Hanna przyrzekła mi że wyjdzie za mnie, jużemy się zgodzili....

HANNA.

Spróbuj jeno!

FRANCISZEK.

placząc prawie z wściekłości i bólu.

Spróbuję też! Ty dbasz o siebie, ja o siebie. Jeżeli ty taka., to i ja inny nie będę.

Nagle zmienionym tonem.

Ale teraz nie chcę cię już wcale. Choćbyś mi się na szyję rzuciła. Taka dziewczka nie warta mnie!

Prędko wychodzi.

HANNA.

Otóż widzisz! — Nareszcie pomogło.

Podczas gdy Hanna pierze dalej, pojawia się w kurytarzu Wermelskirch, lat około pięćdziesięciu, znać w nim byłego aktora prowincjonalnego. Ubrany w zużyty szlafrok, haftowane pantofle, pali długą fajkę.

WERMELSKIRCH

przez chwilę zagląda do pokoju, nie zauważony przez Hannę.

Czy słysząc tu kaszel?

HANNA.

Gdzie?

WERMELSKIRCH.

Przyjechał gość na kurację. Mieszka tam na górze.

HANNA.

Już też czas najwyższy! Połowa Maja!

WERMELSKIRCH

przechodzi zwolna przez próg, udaje lekki kaszel, nucąc półgłosem

Czy widzicie suchotnika
Widiwidiwitt, bum, bum
Co ze śmiercią się boryka?
Widiwidiwitt, bum, bum!

Hanna śmieje się nad balją.

To dobrze robi. Człowiek przynajmniej czuje, że lato nadchodzi.

HANNA.

Jedna jaskółka nie stanowi wiosny!

WERMELSKIRCH

opróżnia miejsce na ławie przy piecu i siada.

Gdzie Henszel?

HANNA.

Pojechał dziś na cmentarz.

WERMELSKIRCH.

Prawda. Wszak to dziś dzień urodzin jego żony.

I auza.

Ale stary też okrutnie desperuje. A kiedy wróci?

HANNA.

Nie rozumiem po co właściwie tam pojechał. Tutaj konie bardzo potrzebne. Zabrał też nowego stangreta.

WERMELSKIRCH.

Ej! Hanno. Gniew szkodzi piękności.

HANNA.

Ale bo prawda. Wszystko zaniedbuje. Omnibus powinien punktualnie odjeżdżać. Bryczka jeszcze zabłocona, a Hauffe sobie już rady dać nie może. Ten stary dziad już jest sztywny jak kozieł.

WERMELSKIRCH.

Tak, tak. Zaczyna się. Dużo do roboty na wszystkie strony. Dziś przychodzi też kucharz na pierwsze piętro. Już i u mnie w piwiarni zauważyć się to daje.

HANNA

śmieje się impertynencko.

Ale po panu nie widać jakoś, żebyś miał dużo do roboty

WERMELSKIRCH

nie obraża się.

Ja zacznę dopiero później. *Eleven o'clock.* O jedenastej. Rzucę się siłą pary do interesów.

HANNA.

Dymu będzie dużo. Wierzę. Pańska fajka nigdy nie zgaśnie.

WERMELSKIRCH

uśmiechając się.

Cięta osoba z pani Dobrodziki! Cięta jak sztylet! — Będzie dziś u nas na obiedzie — zaraz — po pierwsze: basetla, po wtóre: wioloneczella, po trzecie, dwoje pierwszych, dwoje drugich skrzypiec. Troje pierwszych, dwoje drugich, troje drugich, dwoje pierwszych. Teraz się pogubiłem między niemi. Jednem słowem dziesięć osób z kapeli zdrojowej. — Czego się Hanna śmieje? Myśli pewnie, że blaguję? Proszę pomyśleć, co też zeżre taka basetla. To nie do uwierzenia! W ten sposób dosyć chyba jest do roboty.

HANNA

śmieje się. Po chwili.

Rozumie się, że kucharka będzie miała dużo do roboty.

WERMELSKIRCH

skromnie.

Żona moja, córka, cała rodzina, wszyscy musimy uczeiwić się namordować. A gdy lato przejdzie, człowiek się przekonywa, że prawie darmo orał.

HANNA.

Nie rozumiem, czego się pan skarży. Najlepsze interesa robisz z całego domu. Szynk nigdy się u pana nie opróżnia; i latem i zimą w nim pełno. Gdybym była na miejscu Siebenhara, inaczej bym

się do pana zabrała. Nie odczepiłbyś się marnemi trzystu talarami czynszu. Niżej tysiąca nie puściłabym panu. Jeszcze i tak dosyć będziesz ludzi orzynał.

WERMELSKIRCH

wstał i chodzi gwiżdżąc po pokoju.

Czy pani Dobrodzika jeszcze co rozkaże? Ze strachu już mi fajka zgasła.

JERZY

młody, żywy i zręczny kelner, schodzi bardzo prędko z tacą śniadaniową po schodach, za szklanemi drzwiami. Jeszcze za drzwiami zastanawia się, otwiera je jednak, patrzy na kurytarz, wprzód na prawo później na lewo.

JERZY.

Do stu diabłów! Gdzie ja jestem?

HANNNA

śmieje się nad balją.

Zabłądziłeś pan. Musisz wrócić!

JERZY.

W głowie się kręci, słowo honoru! W tej bu-dzie koń nawet by drogi nie znalazł.

HANNA.

Widać, że pan dopiero tu przybył. Co?

JERZY.

Dopiero wczoraj tu nastałem. — Powiedzieć, moi państwo! To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło, a byłem już w niejednym domu. Tutaj trzebaby mieć zawsze przy sobie przewodnika górskiego.

WERMELSKIRCH

naśladując go.

Czy pan czasem nie z Drezna?

JERZY.

W Miśnii stała moja kolebka.

WERMELSKIRCH.

Czy być może?

JERZY.

Ale powiedzcie mi państwo, jak się stąd wy-
dostać?

HANNA

*kokietując z kelnerem w właściwym jej rodzaju, bardzo
ożywiona.*

Zawsze w górę po schodach. Takie jaskółcze
ogony niepotrzebne tu w piwnicy.

JERZY.

To tu jest zapewne paradne wejście?

HANNA.

Tu nie ma żadnej parady. Ale też nie psia
buda. Tutaj właśnie mieszka arystokracja.

JERZY

z poufałą zalotnością.

Wie pani co, piękna damo? Proszę za mną,
niech mi pani drogę pokaże. Z panią nie bałbym
się iść chociaż do starego djabła. Nie bałbym się
pójść ani do piwnicy, ani na strych na siano...

HANNA.

Odczep się pan! Akurat trafił! Takich wyźłów
mamy tu dosyć!

JERZY.

Piękna damo, czy pomódz pani prac?

HANNA.

Nie! Ale jeżeli pan dłużej będziesz głupstwa gadał, to ci pomogę wejść na schody. Oto tak!

Wyciąga na wpół z wody sztukę bielizny.

Ładnie będzie wyglądał pański biały półkoszulek!

JERZY.

Jeszcze by też. Nie będzie pani taka nie dobra. To tak nie można! Pogadamy jeszcze o tem. Prawda piękna damo? Rozumie się, rozumie się, pogadamy jeszcze o tem. Gdy będę kiedy miał czas, —innym razem.

Wychodzi na schody.

WERMELSKIRCH.

Już on tu więcej nie zabłądzi. Siebenhar już go nauczy, kędy droga z sali jadalnej do kuchni.— Kiedy Henszel wróci, Hanno?

HANNA.

W południe. A może mu co powiedzieć?

WERMELSKIRCH.

Dobrze Ale proszę tylko nie zapomnieć. Otóż—niech mu pani Dobrodzika powie, — że kazałem mu się kłaniać!

HANNA.

Zawsze głupstwa! Odrazu to pomyślałam.

WERMELSKIRCH

wychodząc, koło niej z lekkim ukłonem.

Wolno myśleć każdemu, co się podoba. Mam zaszczyt pożegnać.

Wychodzi.

HANNA.

sama, pierze gwałtownie.

Żeby też ten Henszel nie był taki głupi!

Na górze za oknem klęczy roznosiciel towarów Fabig i zagląda.

FABIG.

Dzień dobry, paniusiu. Dzień dobry, paniusiu. Dzień dobry. — Jak się mamy?

HANNA.

Coś pan za jeden?

FABIG.

Jestem Fabig z Quolsdorfu. Czy mnie panusia nie poznaje? Przywożę ukłony od ojcia. Kazał panusi powiedzieć... a może mam wejść?

HANNA.

Dobrze już, dobrze! Wierzę! Znowu pewnie chce pieniędzy. Skąd ich wezmę? Nie mam!

FABIG.

Powiedziałem mu to, ale nie chciał wierzyć. Czy pani sama?

HANNA.

Dla czego?

FABIG

zniżając głos.

Uważa paniusia, mam niejedno na sercu. Ludzie mogliby jeszcze przez okno usłyszeć.

HANNA.

Dla mnie! Niech pan wejdzie.

Fabig znika z okna.

Że też go dziś djabli tu przynieśli.

Wyciera ręce.

FABIG

wchodzi. Biednie ubrany, dziwnie ruchliwy, zabawny, roznosiciel towarów, lat około 36, ze słabym zarostem na twarzy.

FABIG.

Dzień dobry paniusi.

HANNA

gwałtownie.

Po pierwsze! nie jestem żadną paniusią.

FABIG

przebiegle.

Dotąd! Ale to nie długo nastąpi...

HANNA.

Kłamstwo przebrzydłe!

FABIG.

Nie moja to wina. Tak słyszałem, Tak ludzie wszędzie mówią — ponieważ Henszłowa umarła...

HANNA.

Dla mnie! Niech gadają! Ja robię swoje...
Cóż mnie to zresztą obchodzi!

FABIG.

Tak też najlepiej! I ja tak robię... Czego już
na mój rachunek nie gadali. Że miałem ściągnąć
gołębie w Altwasserze. Raz szczeniak za mną pole-
ciał... Ludzie zaraz powiedzieli, że go ukradł.

HANNA.

Jeżeli pan masz mi co do powiedzenia, proszę
krótko i węzłowato.

FABIG.

Otóż tak dobrze. Ja też zawsze sam jestem
tego zdania. Ludzie zawsze za dużo paplą...
Gdy mowa o kilku gałganach lub czemś podo-
bnem, gadają jak gdyby jaki folwark sprzeda-
wali. — A teraz krótko. Chodzi o to, paniusiu — prze-
praszam, znowu się omyliłem. — Otóż panienko!
chodzi o jej córkę...

HANNA

gwałtownie.

Ja nie mam żadnej córki, proszę o tem panie-
tać! Dziewczynka która się wychowuje u mego
ojca, jest córką mojej siostry.

FABIG.

A! w takim razie, to co innego. Wszyscyśmy
myśleli, że panna jesteś matką tej dziewczynki.
A gdzie jest siostra?

HANNA.

Kto to wie? Kryje się gdzieś. Myśli sobie:
dacie sobie sami bezemnie radę.

FABIG.

A to dopiero, a to dopiero dziwne! Przysięglbym na wszystkie świętości! — Ale nie tylko ja, nie tylko ja sam. My wszyscy tam w Quolsdorfie gotowiśmy byli przysięgać, że panna jesteś matką tego maleństwa.

HANNA.

Dobrze, dobrze! Wiem, kto to na mnie wymyślił. Mogłabym ich wszystkich nazwać po imieniu! Chcieliby ze mnie zrobić ostatnią dziewczkę! Ale jeżeli się kiedy dostaną w moje ręce, obliczę się z nimi, niech pamiętają!

FABIG.

Hm. W takim razie bardzo niedobrze! Bo ta rzecz paniusiu, przedstawia się tak; stary ojciec — paniusia wie przecie — cóż robić? — nigdy nie jest trzeźwy. Trąbi przez cały dzień — bez końca. Przed dwoma laty jeszcze, zanim matka umarła — mógł dziewczynkę zostawiać w domu. Teraz nie można, chata pusta. Włóczy się więc po wszystkich oberżach, dziurach, od karczmy do karczmy. Pies by się wzruszył, patrząc na to.

HANNA.

gwałtownie.

A cóżem ja winna, że to taki pijanica?

FABIG.

Jak Boga kocham, nie. Starego już nikt nie powstrzyma. Żal się robi tylko dziewczyny. Jeżeli jej nikt nie odbierze i nie odda na wychowanie dobrym ludziom, to ona nie pożyje ani dziesięciu tygodni.

HANNA

uparcie.

To mi wszystko jedno! Ja nie mogę jej tu wziąć. Mam ze sobą dosyć biedy.

FABIG.

Niech paniusia zajrzy kiedy do Quolsdorfu i zobaczy ją. Byłoby to najlepsze! Co to za dziewczyna!.. Śliczne maleństwo, a ręce i nogi ma... jak Boga kocham — jak gdyby z porcelany, takie maleńkie.

HANNA.

To nie moje dziecko, nie obchodzi mnie wcale!

FABIG.

Moja droga paniusiu! Zaradzź że jako. Aż przykro na to patrzeć! Gdy wejdę do oberży, tak wśród nocy, — a ja muszę tam łazić — interes mój tego wymaga — i patrzę jak to dziecko siedzi z ojcem w dymie, to aż mi się serce kraje.

HANNA.

Niech go szynkarze nie wpuszczają. Niech wezmą kija i porządnie go wyłoją — to zaraz pomoże. — Słyszę, że ktoś zajechał na podwórze. Oto pięć czeskich. Teraz proszę się wynosić. Jak się prześpię, namyszę się. W tej chwili więcej o tem gadać nie mogę. Ale uprzedzam — gdybyś pan jedno słówko pisnął w piwiarni — nie znam cię więcej.

FABIG.

Nie będę gadał — cóż mnie to obchodzi? Nie będę też sprawdzał w parafii, w książkach kościelnych, czy to jest dziecko paniusi, czy siostry. Gdy trzeba, potrafię stulić pysk. Ale gdyby

pani chciała posłuchać mojej rady, to najlepiej byłoby zaraz wyznać wszystko Henszlowi. Nie urwie on paniusi głowy!

HANNA

coraz bardziej zirytowana, gdyż słysząc już głos Henszla.

A to przekłety papla! To paraliż może ze złości trafić człowieka.

Wchodzi do komory.

HENSZEL

wchodzi poważnie i wolno. Ubrany w czarny garnitur, cylinder i białe bawełniane rękawiczki.

HENSZEL

staje i patrzy na Fabigę, zastanawiając się zwolna.

Z prostotą, spokojnie.

A pan coś za jeden?

FABIG

z werwą.

Kupuję gałgany, stary papier, meble, znoszoną odzież, — wszystko co się zdarzy.

HENSZEL

po długiem ponownem spojrzeniu, dobroduszenie, ale stanowczo.

Proszę mi się stąd wynosić.

FABIG

wychodzi, uśmiechając się z lekka, zawstydzony.

HENSZEL

zdejmuje cylinder, ociera czoło i kark chustką kolorową, następnie stawiając kapelusz na stole, mówi zwrócony ku drzwiom komory.

Dziewczyno! Gdzie ty siedzisz?

HANNA.

Jestem tu, w komorze przy Guci.

HENSZEL.

Dobrze, dobrze. Poczekał. Nie wesoło na świecie!

HANNA

wychodzi z komory, bardzo zajęta.

Zaraz jedzenie będzie gotowe.

HENSZEL.

Nie będę jadł. Nie jestem głodny.

HANNA.

Jadło i picie podtrzymuje ciało. Służyłam kiedyś u owczarza. Ten zwykle mawiał: „Gdy człowiek ma zmartwienie, lub coś podobnego, powinien jeść, choć nie jest głodny.“

HENSZEL.

Ugotuj więc obiad, zobaczymy!

HANNA.

Nie powinien się pan tak poddawać. Trzeba się pogodzić z losem.

HENSZEL.

Czy był tu introligator Horand?

HANNA.

Wszystko w porządku: przyniósł czterdzieści nowych biletów. Leżą tam na komodzie.

HENSZEL.

Oto zaczyna się mordęga; dzień za dniem, wieczór za wieczorem, trzeba będzie znowu powozić

tem starem pudłem, tym omnibusem z Freiburga i przewozić przez góry chorych.

HANNA.

Za dużo pan sam pracuje. Stary Hauffe jest już za powolny. Trudna rada—jabym go odprawiła.

HENSZEL

wstaje i idzie do okna.

Obrzydła mi już ta furmanka. Musi się to skończyć koniecznie. Lepiej dziś, niż jutro! Konie odeślę do oprawcy, wozy każę porąbać na drwa, a sam poszukam sobie mocnego stryczka... Pójdę na chwilę do Siebenhara.

HANNA.

Mam też coś panu powiedzieć.

HENSZEL.

Co takiego? słucham!

HANNA.

Nie łatwo mi to przychodzi, widzi pan.

Płaczliwie.

Ale jestem strasznie potrzebna bratu!

Wybucha płaczem.

Będę musiała odejść!

HENSZEL

zdumiony do najwyższego stopnia.

Chyba masz źle w głowie!... Nie zaczynaj mi z takimi rzeczami jeszcze!

HANNA

stoi, udając płacz, zakrywa oczy fartuchem.

HENSZEL.

Słuchajno, dziewczyno — chyba mi teraz tego nie zrobisz? Tego by tylko brakowało. Któż się gospodarstwem zajmie? Teraz gdy lato za drzwiami, chcesz mnie opuścić?

HANNA

jak wyżej.

Żal mi też bardzo Guci.

HENSZEL.

Któż będzie jej doglądał, gdy odejdiesz?

HANNA

po chwili, jak gdyby się gwałtem siliła na spokój.

Nie można inaczej!

HENSZEL.

Wszystko można, trzeba tylko chcieć. Nigdy mi o tem nie mówiłaś i odrazu przychodzisz z tą historją o bracie? — czy ci kiedy ubliżyłem? Czy ci może u mnie niedobrze?

HANNA.

Z resztą — skończy się ludzkie gadanie.

HENSZEL.

Jakie gadanie?

HANNA.

Nie wiem — ale lepiej zejść ludziom z oczu.

HENSZEL.

Dalibóg! Niewiem o czem mówisz!

HANNA.

Robię swoje, biorę zasługi. Ale na to nie pozwolę! Gdy gospodyni żyła, mordowałam się przez cały dzień. I teraz nie próżnowałabym, dla tego że umarła. Ale skoro ludzie gadają, że się stroję, że chcę zostać mężatką — poszukam sobie innej służby!

HENSZEL

z ulgą.

Jeżeli tylko o to chodzi.

HANNA

bierze jakąś robotę, jako pretekst do wyjścia.

Nie, nie. Pójdę. Nie mogę tu zostać.

Wychodzi.

HENSZEL

mówi jej w ślad,

Niech tam sobie ludzie gadają! Od czegoż mają gęby.

Zdejmuje czarny surdut i wiesz go na kołku, wzdychając.

Coraz lepiej! Nowy kłopot!

SIEBENHAR

wchodzi wolno z butelką, napełnioną wodą i z szklanką.

SIEBENHAR.

Dzień dobry!

HENSZEL

Dzień dobry, panu!

SIEBENHAR.

A może przoszkadzam?

HENSZEL.

Ale skąd! Jeszcze czego! Witam!

SIEBENHAR

stawiając butelkę i szklankę na stole.

Muszę znowu używać karacyi. Wiecznie to moje gardło! Ha! Na coś człowiek przecie musi umrzeć.

HENSZEL.

Pij pan ostro wody. Będzie dobrze!

SIEBENHAR.

Robię też to.

HENSZEL.

I nie Mühlbrun, ani Oberbrun. Pij pan z naszego źródła. Ono jest najlepsze.

SIEBENHAR.

A teraz, przechodząc do innej rzeczy...

Wziął machinalnie gałąź bluszczu i bawi się nią; nagle zastanawia się, spogląda na cylinder Henszla i mówi.

To dziś urodziny pańskiej żony?

HENSZEL.

Tak. Dziś skończyłaby trzydzieści sześć lat.

SIEBENHAR.

Czy to być może?

HENSZEL.

Tak, tak!

Pauza.

SIEBENHAR.

Drogi panie Henszel! Pozostawię cię teraz samego. Jutro, jeżeli pozwolisz, pomówię z panem o pewnym interesie.

HENSZEL.

Wolałbym, żeby to zaraz było.

SIEBENHAR.

Chodzi o te tysiąc talarów, które jestem panu dłużny.

HENSZEL.

Panie Siebenhar! Daj pan pokój! Uprzedzam pana, że możesz te pieniądze zatrzymać do zimy. Widzi pan, na co mam kłamać? Nie są mi teraz potrzebne. Nie zależy mi na nich, a wiem, że one u pana pewne.

SIEBENHAR.

W takim razie jestem ci bardzo, bardzo wdzięczny, mój stary! Wyświadczasz mi wielką przysługę. Przez lato pieniądze wpłyną, teraz zaś bardzo by mi było trudno płacić.

HENSZEL.

Widzi Pan! Dobrze się składa dla nas obu.

Pauza.

SIEBENHAR.

Sam się czasem dziwię; wszak od dzieciństwa ten dom zamieszkuję. Dziś, gdybym tylko uregulował jako tako interesa, wyszedłbym stąd z zupełnym spokojem.

HENSZEL.

Ja bym stąd nie chętnie wyszedł, przyznaję.
Nie wiedziałbym, gdzie się obrócić!

SIEBENHAR.

Bo pan poszedłeś naprzód; te same stosunki,
przeciw którym ja się z największym wysiłkiem
bronilem, pomogły panu do zrobienia majątku.

HENSZEL.

Jednemu brak tego, drugiemu owego. Kto
wie, co gorsze? Widzi pan, ja jestem jak pora-
żona pszenica. Czy też się jeszcze kiedy podnio-
sę? Nie wiem dotąd, co się ze mną dzieje.

Pauza.

SIEBENHAR.

Na wszystko jest czas, mój stary! Musisz się opa-
nować. Musisz iść między ludzi, pogadać, posłu-
chać, od czasu do czasu napić się piwa, lub choćby
rzucić się w wir interesów.. Ponieważ, co się
stało, nie odstanie, a zatem — naprzód!

HENSZEL.

Masz pan rację. Prawda!

SIEBENHAR.

Przyznaję! Żona pańska była najlepszą, najpo-
rządniejszą kobietą. Co do tego jest tylko jeden
głos. Ale pan żyjesz! Jesteś człowiekiem w naj-
lepszym wieku. Wiele masz jeszcze do załatwienia
na świecie. Kto wie, do czego jesteś jeszcze prze-
znaczony. Dla tego: bynajmniej nie potrzebujesz
zapominać nieboszczki żony, przeciwnie! Człowiek

taki, jak pan, nie zapomina. Ale powinieneś czcić jej pamięć w inny sposób, zdrowszy. Trudna rada! Oddawna cię już obserwuję i postanowiłem przemówić ci do sumienia. Zbyt się poddajesz zmartwieniu.

HENSZEL.

Co począć, panie? Masz pan słuszność; nie będę się sprzeczał. Ale czasami zupełnie sobie nie mogę dać rady. Gdy chcę się zająć interesami i tu czuję, żem sam. Cztery oczy widzą więcej, niż dwoje, a dwie pary rąk więcej załatwią, podczas lata, jak kilka wozów. Kto mi dopilnuje wszystkiego w domu? Nie łatwa to rzecz.

SIEBENHAR.

Wszak z Hanny dzielna dziewczyna?

HENSZEL.

Otóż widzisz pan, i ona wymówiła mi służbę—kiepsko bez kobiety! Nie wiadomo na kim polegać. To jest właśnie owa bieda.

SIEBENHAR.

Ożeń się, panie Henszel.

HENSZEL.

Byłoby to może najlepsze. — Cóż robić. Bez kobiety samemu trudno sobie dać radę. Właśnie postanowiłem przed chwilą pójść do państwa: chciałem pogadać z panią. Możeby mi ona co poradziła. — Zbyt nagle to przyszło. Odumarła mnie nieboszczka wśród wszystkiego. Żeby panu wyznać już całą prawdę: i furmański interes się popsuk. Niedługo, a będzie tu kolej. Widzi pan, zaoszczędziliśmy sobie trochę, chcieliśmy kupić małą oberżę—może tak za jakie dwa lata. Ale bez kobiety—nic z tego!

SIEBENHAR.

To też wiecznie tak nie może trwać. Nie powinienes pan przez całe życie pozostać wdowcem. Już choćby dla samego dziecka!

HENSZEL.

I ja sobie to powiadam.

SIEBENHAR,

Nie chciałbym się mieszać w pańskie sprawy, ale — wszak jesteście starymi przyjaciółmi! Otóż czekać jedynie dla tego, że ludzie będą gadali — uważam za wielkie głupstwo. Jeżeli zatem pan masz na serjo zamiar powtórnie się ożenić, w takim razie, dla ciebie i dla dziecka — im prędzej, tem lepiej. Rozumie się, nie należy tego czynić bez zastanowienia: naturalnie! Skoro pan się jednak zdecydowałeś, to jazda naprzód! — Nie ma co zwlekać!

Po pauzie, podczas której Henszel drapie się w ucho.

Czy masz pan już kogo na myśli?

HENSZEL.

Czy mam już kogo na myśli, chcesz pan wiedzieć? Hm! Może i tak, ale z tą nie mogę się ożenić.

SIEBENHAR.

A to dlaczego?

HENSZEL.

Sam pan najlepiej wiesz o tem!

SIEBENHAR.

Ja — wiem? Jakim to sposobem?

HENSZEL.

Zastanów się pan trochę.

SIEBENHAR

potrząsa głową.

Nie mogę sobie nic przypomnieć.

HENSZEL.

Wszak musiałem przyrzec nieboszczce, że się nie ożenię!

SIEBENHAR.

...? A!!! — To pan mówisz o tej służącej — o Hannie?

Pauza.

HENSZEL.

Zajechało mi to strasznie w głowę. Na cóż mam ukrywać? Gdy się obudzę w nocy, czasem nie mogę zasnąć przez dwie godziny. Ciagle i wiecznie przychodzi mi to na myśl. Nie mogę pozbyć się tej historii.

Pauza.

Dziewczyna — jest dobra! Trochę za młoda dla mnie starego, ale więcej pracuje, niż czterech chłopów. Dbą też ona bardzo o Gucię; własna matka więcej nie mogłaby robić! W dodatku ta dziewczyna ma głowę, mówię panu — głowę lepszą od mojej. Mogłaby zostać rachmistrzem w urzędzie. Do grosza, do feniga wszystko pamięta, choćby po sześciu tygodniach. Ja myślę, że dała by radę dwóm adwokatom.

SIEBENHAR.

Jeżeli pan o tem jesteś tak przekonany...

HENSZEL.

Nigdzieby lepsza żona dla mnie się nie znalazła. — A jednak: nie mogę się przemódz.

Pauza.

SIEBENHAR.

Tak, tak. Teraz przypominam sobie. To było jakoś w ostatnich dniach przed śmiercią. Muszę jednak przyznać: nie brałem tego wcale na serjo. Żona pańska była wtedy silnie zirytowana. Ale to skutkiem choroby. — Sądzę więc, że to nie jest główna kwestyja..... Główną kwestyją zostaje zawsze pytanie: czy Hanna istotnie jest stosowną dla pana. Niewątpliwie, posiada ona wiele zalet! Niejedno nie podoba mi się w niej. Ale któż z nas jest bez wad? Ludzie mówią, że ma podobno dziecko!

HENSZEL.

Prawda. Ma dziecko! Dowiadywałem się! Więc co? Nic sobie z tego nie robię. Czy miała do dziś na mnie czekać? Co? Wtedy nie wiedziała o mojem istnieniu. O to wcale bym się nie troszczył!

SIEBENHAR.

A zatem.. Tamto rzecz podrzędna. A w każdym razie — jeżeli nie podrzędna — pojmuję, że człowieka gryzie — trzeba się uwolnić, zwalczyć to koniecznie. Byłoby szaleństwem uważać się za związanego, pomimo przekonania, że z tą dziewczyną będzie panu lepiej.

HENSZEL.

Powtarzałem to sobie już ze sto razy. Wszak zawsze chciała tylko mojego dobra! Niby, moja nie-

boszczka żona, gdy była zdrową. Chyba i teraz nie stanie mi na przeszkodzie. Gdziekolwiek się ona znajduje, pragnie zapewne, aby mi się dobrze działo.

SIEBENHAR.

Z pewnością!

HENSZEL.

Dziś byłem na jej grobie. Żona pańska też tam kazała złożyć wieniec. Pomyślałem sobie: pójdziesz tam! Może ci ona ześle jaką myśl. Może tam co postanowisz. — Matko, mówiłem do niej, tak w myślach — daj mi znak! Tak, czy nie! Jakkolwiek wypadnie, przyjmuję. Stałem tam przez pół godziny. Modliłem się, przedstawiałem jej wszystko, — rozumie się tak sam do siebie — o dziecku, o oberży, i że sobie nie mogę dać rady — ale nie dała mi żadnego znaku!

HANNA

wchodzi, patrząc jedynie w przelocie, z boku na rozmawiających, bierze się energicznie do roboty. Odstawia na bok stół i balię i rozpoczyna zajęcie przy piecu.

SIEBENHAR

do Henszla.

Niech Pan Bóg da umarłym wieczny odpoczynek! Jesteś mężczyzną, panie Henszel, w pełni życia. Na co ci znaki, cuda? Wszak jesteśmy w stanie odnaleźć właściwą drogę, dać sobie jako tako radę przy pomocy naszego rozumu. Jesteś sam kapitanem na swoim statku! A zatem... Precz wszelkie fantazje i chimery, do wody z nimi! Im więcej się nad tem zastanawiam, tem bardziej ta rzecz mi się podoba!

HENSZEL.

Hanno! A ty co na to?

HANNA.

Nic! Przecie nie wiem, o czem państwo mówicie.

HENSZEL.

Poczekaj! Za chwilę ci powiem.

SIEBENHAR.

A zatem do widzenia, mój stary. Życzę szczęścia na drogę!

HENSZEL.

Miejmy nadzieję!

SIEBENHAR.

Nie obawiam się też o pana: masz szczęśliwą rękę!

Wychodzi.

HENSZEL.

Na psa urok, panie Siebenhar!

HANNA.

Trzeba wypluć trzy razy; Tfu! tfu! tfu!

Pauza.

HANNA.

Trudna rada — jesteś pan za dobry.

HENSZEL.

Dlaczego to?

HANNA.

Ludzie pana obdzierają...

HENSZEL.

Myślisz, że chciał czegoś odemnie?

HANNA.

Jakżeby inaczej? Powinien się wstydzić: zebrać u biednych ludzi.

HENSZEL.

—Nie wiesz teraz, co mówisz, Hanno!

HANNA.

O! wiem ja dobrze, wiem!

HENSZEL.

Właśnie, że niewiesz i nie możesz wiedzieć! Później kiedyś, pojmiesz to. — A teraz pójdę do szynku i zafunduję sobie kufel piwa; będzie to pierwszy raz od ośmiu tygodni. Gdy wrócę, zjemy obiad, a po obiedzie — uważaj, co powiem — pogadamy ze sobą o jednej rzeczy! Zobaczymy, jak się to wszystko ułoży. A może nie masz ochoty?

HANNA.

Przecie pan sam powiedział, że zobaczymy.

HENSZEL.

Jeszcze raz powtarzam to samo! Sprobujemy jak to będzie.

Wychodzi. Pauza.

HANNA

gospodaruje dalej spokojnie. Gdy Henszel oddalił się i nie słychać go już, zaprzestaje nagle, ociera ręce, zaledwie panując nad radosnem wzruszeniem, zrywa fartuch i t. d. i mówi z tryumfem.

A teraz pokażę wam, uważajcie!

Koniec aktu drugiego.



AKT TRZECI.

Pokój ten sam, co w poprzednich aktach.

Wieczór. Koniec Listopada. Ogień pali się w piecu, świeca na stole. Środkowe drzwi zamknięte.

Słychać dochodzące z pierwszego piętra stłumione dźwięki tanecznej muzyki.

HANNA

obecnie Henszłowa, siedzi przy stole, robiąc pończochę. Ubrana zgrabnie i starannie w niebieski perkalik, na piersiach ma czerwoną chustkę.

MAJSTER HILDEBRANT

kował, figura mała nerwowa postać, wchodzi.

HILDEBRANT.

Dobry wieczór pani Henszłowej. Gdzież to mąż?

HANNA.

We Wrocławiu. Pojechał za kupnem trzech koni.

HILDEBRANT.

Pewnie dziś nie wróci? Co?

HANNA.

Nie będzie przed poniedziałkiem w domu.

HILDEBRANT.

Dziś dopiero sobota. — Odwiozłem wóz drabiniasty. Stoi na dworze. Trzeba było dać wszystkie cztery nowe obręcze. A gdzie jest Hauße?

HANNA.

Już go dawno u nas niema.

HILDEBRANT.

Co ja też plotę do wszystkich dyjabłów? Chciałem się zapytać o nowego parobka. Gdzie on jest?

HANNA.

Pojechał z mężem do Wrocławia.

HILDEBRANT.

Ho! ho! Wiem ja przecie dobrze, że Hauße odszedł. Przychodzi do kuźni i gapi się, gdy nakładam żelazo na kowadło. Nie ma dotąd miejsca.

HANNA.

Gadają, że się rozpił.

HILDEBRANT.

Myszę, że się tak skończy. Kiepsko takiemu staremu na świecie. Nikt go nie chce przyjąć. — Co się tam dzieje na górze?

HANNA.

Muzyka, tańczą. Tam jest reszursza.

HILDEBRANT.

Jakby to było, gdybyśmy tam we dwoje poszli? Dlaczego byśmy się nie mieli puścić walca?

HANNA.

Patrzyliby na nas, jak na rarogów. — Cóżes to pan chciał od męża, panie majster?

HILDEBRANT.

Pan wójt ma kasztanowatego ogiera, który się nie pozwala podkuć. Chcieliśmy więc prosić Henszla. — Jeźli on szkapie nie da rady! to już sam djabeł tu nie poradzi. Dobranoc pani Henszlowej.

HANNA.

Dobranoc panie majster.

Hildebrant wychodzi.

HENSZŁOWA

nasłuchując: odgłosy tańca w kurytarzu

Cóż tam się znowu dzieje?

Idzie do drzwi i otwiera je.

HENSZŁOWA.

Co to za hałas?

FRANCISZKA.

wchodzi tańcząc.

Z drogi, z drogi, nie mam czasu.

Kręci się naokoło stołu w takt walca, którego dźwięki z góry dochodzą.

HANNA.

Oho! Zupełnie już zwarzjowała! Co ty robisz? Czy cię pies wściekły ukąsił?

FRANCISZKA

nie zważając na to tańczy dalej, nucąc przytem melodję walca.

HANNA

coraz bardziej rozbawiona.

Bój się Boga! Szlag cię trafi! Dziewczyno, zbzikujesz na pewno!

FRANCISZKA

*muzyka nagle przestaje grać. Franciszka zmęczona
pada na krzesło.*

Mogłabym się na śmierć zatańczyć.

HANNA.

Wierzę, że do tego przyjdzie, jeżeli tak będziesz często powtarzała. W głowie się kręci od samego patrzenia.

FRANCISZKA.

A pani nie tańczy?

HANNA.

Ja? Rozumie się że tańczę. Zdarzyło się już, że zdarłam przez jedną noc w tańcu parę nowych trzewików.

FRANCISZKA.

To niech pani zatańczy ze mną.

HANNA.

Idź lepiej na salę i tam sobie zatańcz.

FRANCISZKA

Boże, Boże! Gdybym mogła! Wie pani co. Wkradnę się tam. Wkradnę się na galerję. Czy pani tam kiedy była? Na galerji, w wielkiej sali, tam gdzie stoją worki suszonych śliwek? Nikogo się nie będę pytać; pójdę i będę się przyglądała. Będę jadła śliwki i przyglądała się. A kto mi zabroni?

HANNA.

A może Siebenhar przyśle po ciebie żebyś, zeszła na salę?

FRANCISZKA.

Będę się śmiało przyglądała — z nikogo sobie nie robię. A gdy która będzie tańczyła z panem Siebenharem, to rzucę w nią pestką od śliwek.

HANNA.

A toś się zadurzyła w tym Siebenharze.

FRANCISZKA

muzyka.

Zaczyna się znowu, grają polkę.

Zaczyna znowu tańczyć.

Zaraz bym zatańczyła z panem Siebenharem. Nim by spostrzegł, dałabym mu buziaka — ni stąd ni zowąd.

HANNA.

Ten twój Siebenhar za stary na mój gust.

FRANCISZKA.

Przecie mąż pani jest starszy.

HANNA.

Ty smarkata! Mój mąż o całe pięć lat młodszy od niego.

FRANCISZKA.

Nie wiem. Wydaje się daleko starszym. Taki już stary i pomarszczony! O nie! jego bym nie pocałowała!

HANNA.

Wynoś się stąd, albo złapię miotłę! Nie wycieraj ty sobie gęby moim mężem. Skąd wezmę lepszego? Czekać, jak będziesz miała moje lata, to dopiero się dowiesz, jak to trudno dostać męża.

FRANCISZKA.

Ja nie wyjdę za mąż! będę czekała, aż tu kiedy latem przyjedzie jaki elegancki pan—najchętniej chciałabym żeby był z Rosyi—jaki gość kąpielowy. Z tym zabiorę się i pojadę w świat daleki. Chcę zobaczyć świat — być w Paryżu. Napiszę stamtąd kiedy do pani.

HANNA.

I ja myślę, że ty kiedy stąd uciekniesz.

FRANCISZKA.

O co na to, to pani może przysiądz! Wszak i pan Siebenhar był w Paryżu.

GŁOS WERMELSKIRCHA.

Franiu, Franiu! Gdzież ty znowu siedzisz?

FRANCISZKA.

Pst! Niech pani nie mówi.

GŁOS WERMELSKIRCHA.

Franiu, Franiu!

FRANCISZKA.

Pst! Cicho! Mam im tam znowu usługiwać w oberży. To obrzydliwe, niechcę tego!

GŁOS WERMELSKIRCHA.

Franiu!

FRANCISZKA.

Przecie to rzecz papy albo mamy, albo też powinni sobie kelnera trzymać. Nie pozwolę się wy kierować na pannę od piwa!

HANNA

To jeszcze nie najgorsze.

FRANCISZKA.

Gdyby to jeszcze byli porządni panowie. Ale to sami studniarze, stangreci i górnicy. Dziękuję za to. To dla mnie niewypada!

HANNA.

Gdybym była na twojem miejscu, inaczej bym robiła. Zbierałabym piękne napiwki. Mogłabyś zarobić ładny grosz. Zaoszczędzić nie jeden czeski.

FRANCISZKA.

Nieprzyjmuję czeskich, ani trojaków. A gdy pan Siebenhar, albo budowniczy, albo pan doktor Wallentiner dadzą mi co kiedy, w tej chwili przejadam. Wydaję na łakocie!

HANNA.

To właśnie nieszczęście! Nie daleko pada jabłko od jabłoni. Twój ojciec i matka też nie o wiele lepsi. Nie pilnujecie szynku. Gdybyście lepiej pilnowali interesów, mielibyście już pieniądze na procencie u ludzi.

FRANCISZKA.

Właśnie że nie jesteśmy takie sknery jak pani.

HANNA.

Ja nie jestem sknerą, ale trzymam pieniądze.

FRANCISZKA.

Ludzie mówią, że pani skąpa.

HANNA.

Co mi tam wszyscy ludzie, razem z tobą. Wy-
noś się stąd! Dosyć już mam tej twojej paplaniny.
Możesz też tu więcej nie przychodzić. Nie było
mi wcale tęskno po tobie. Najlepiej nie nie wie-
dzieć i nie słyszeć o was, o tej całej tam hołocie!

FRANCISZKA.

już u drzwi odwraca się obrażona.

A czy pani wie, co ludzie jeszcze mówią?

HANNA.

Nie chcę nic wiedzieć! Precz stąd! Uważaj
lepiej żebyś sama czego nie usłyszała! Wiadomo,
jak tam jest między Siebenharem a tobą. Sami to
wiecie najlepiej — ale i ja wiem. Gdyby nie to,
bylibyście stąd wylecieli ze dwadzieścia razy z ta-
kiem gospodarstwem. Znam ja dobrze Siebenhara!

FRANCISZKA.

Tfu, tfu, tfu!

Pluje i wychodzi.

HANNA.

Hołota!

*Drzwi środkowe zostały niezamknięte. Siebenhar i kelner
Jerzy spotykają się przy schodach, pierwszy schodząc
a drugi wchodząc na górę. Rozmowa ich toczy się na
kurytarzu.*

JERZY

*ubrany podług wiedeńskiej mody: kapelusik, laseczka,
długie palto, krawat kolorowy.*

SIEBENHAR.

A czego to?

JERZY.

Przepraszam uniżenie. Mam interes do pana furmana Henszla.

SIEBENHAR.

Furmana Henszla niema w domu. Powiedziałem ci już trzy razy, że w moim domu niema miejsca dla ciebie. Jeżeli tego nie zapamiętasz, każę ci poprawić pamięć.—Przez żandarma, rozumiesz?

JERZY.

Łaskawy panie Siebenhar! Przepraszam najmocniej. Ja tu nie do pana przychodzę. Tu w pańskim domu mieszkają ludzie. Z drugiej strony nie możesz mi pan dowieść żadnego czynu, przeciwnego honorowi.

SIEBENHAR.

Ale gdy cię tu raz jeszcze spotkam, każę cię przez stróża wyrzucić. Zastosuj się zatem do tego z łaski swojej!

Wychodzi.

JERZY

wchodzi do pokoju, klnąc.

Gotów jestem się na to narazić. Zobaczymy jeszcze jak będzie. Poczekamy!

HANNA

zamyka drzwi, trzaskając niemi. Z trudnością opanowuje gniew z powodu Siebenhara.

I my tu przecie jeszcze jesteśmy, niech spróbuje! To jest nasze mieszkanie, nie jego. A kto do nas przychodzi, przychodzi do nas! Jemu nie wolno się do tego mieszać!

JERZY.

Poczekamy mówię! To go może drogo kosztować: grubo będzie musiał zapłacić, gdy go do sądu zaskarżę. Już kiedyś brzydko się załapał z tym Alfonsem, który tu był przed dwoma laty. Ze mną będzie gorsza sprawa. Trzydzieści talarów, to za mało dla mnie!

HANNA.

Nie ma on tyle w całym majątku, ten nędzarz przekłety! W całym powiecie u wszystkich siedzi w kieszeni. Wszędzie na około ma długi. Niedługo potrwa, a zupełnie się to skończy. Sam wyłeci z tego domu, skąd innych chciałby wyrzucać!

JERZY

zdejmując palto, wiesza je na kołku, jak równię i kapelusz. Strzepuje pyłki z surduta i spodni.

A jakże! To już nie jest wcale tajemnicą. Już o tem mówią wszyscy bywalcy w oberży. Nikt go też nie żałuje, a wszyscy życzą mu takiego końca. Obecny mój szef nie może go znieść. Jak słyszy jego nazwisko, zaraz wpada w wściekłość.

Wyjmuje z kieszeni lusterko i szczotkę, poprawiając włosy.

„O, ten pan Siebenhar — mawia on —, to ładna sztuczka.“

HANNA.

Wierzę, bardzo wierzę! Ma rację!

JERZY.

A teraz powiedz no Haniu! Masz tam co ciepłego?

HANNA

Dla czego to wczoraj nie przyszedłeś?

JERZY.

Cóż ty myślisz? czy to ja codziennie jestem wolny? wiele mnie kosztowało, zanim się dziś uwolniłem. Wczoraj trwało do trzeciej w nocy.

HANNA.

A co tam było?

JERZY.

Posiedzenie straży ogniowej. Sprawili sobie nową sikawkę. Mają wkrótce urządzić wielką uroczystość: poświęcenie. Wczoraj odbyło się pierwsze posiedzenie.

HANNA.

Oni tylko szukają wymówki, żeby chlać. A ja tu tymczasem siedziałam sama i czekałam do późnej nocy. Raz — nie wiem, co to takiego było — widocznie jakiś ptak uderzył w okno — myślałam że to ty, wstałam i otworzyłam okno. Byłam potem taka wściekła, że nie mogłam przez połowę nocy zasnąć.

Uderza zlekka dłonią w stół.

Nie wiem dlaczego, ale jeszcze jestem wściekła.

JERZY.

Daj pokój! Po co psuć sobie humor.

Obejmuje ją.

To nie ma sensu. Po co? na co?

HANNA.

wyrywa mu się.

Prawda! Masz rację. Nie wiem co to jest, że człowiekowi wszystko krzywo idzie. Przez cały tydzień mój stary siedzi w domu, a gdy nareszcie naprawdę wyjeżdża, traci się tylko darmo czas.

JERZY.

Mamy jeszcze przecie dosyć czasu. Wszak dopiero wraca w poniedziałek?

HANNA.

Djabli tam wiedzą, czy to jeszcze prawda!

JERZY.

Jakim sposobem?

HANNA.

Musi on teraz ciągle sterczeć w domu. Dawniej i przez pół nie było tak źle. Po całych tygodniach był w podróży. Teraz jęczy zaraz, Bóg wie jak, gdy choć przez jedną noc ma być poza domem. A gdy powie: „nie będzie mnie przez trzy dni“— to po większej części już drugiego dnia wraca. Słyszysz? zdaje mi się, że to oni. Któż by inny tak na podwórzu trząskał z bicia?

JERZY

nasłuchuje, po chwili półgłosem.

A żeby go też wszyscy djabli! Przeklęte trząskanie. Ledwo się człowiek trochę rozgrzał. To pewnie trzeba się wynosić. Co? Przedstawią mi sobie, że to inaczej będzie.

Wkłada palto, bierze kapelusz.

HANNA

wrywa mu kapelusz.

Zostaniesz tu. Po co masz wychodzić? Kogo się tu bać? Może mego męża. Musi on na dwóch łapkach przedemną służyć! Jeszcze czego!—Trzeba było przyjść wczoraj, nikt by nam nie przeszkodził. Ani mój stary, ani Siebenhar. Djabeł się w to wdał!

HANDLARZ KONI WALTER

wchodzi. Dzielny, przystojny 40-letni mężczyzna. Baszłyk na głowie, szuba futrzana, pończochy myśliwskie i wysokie buty; welniane rękawice, bez palców na sznurze.

WALTER.

Gospodyni! Mąż twój jest na podwórzu. Wpadam na chwilę, aby ci powiedzieć „dobry wieczór“ i znów muszę wsiąść na konia. Kupiliśmy śliczne Brabanty. Przywiózł ci też coś.

HANNA.

Przypuszczałam, że wróci dopiero w poniedziałek.

WALTER.

Dojechaliśmy tylko do Kantu. Tam musieliśmy konie ładować na kolej — bo inaczej pokreśliłyby karki, taka gołoledź.

JERZY.

Rozumie się; kolejną prędzej się jedzie.

WALTER.

A to co za kawaler? Dawno nie widzianego! Wszak to Jerzyk? Zawsze się myślę. Wygląda jakby jaki prawdziwy baron!

JERZY.

Tam pod gwiazdą więcej się zarabia. Obecnie daleko lepiej stoję. Tutaj zdarłem całą garderobę. Na ostatku chodziłem już prawie nago. Teraz człowiek, od czasu do czasu, może znowu przynajmniej sobie co sprawić.

WALTER.

Słuchaj no gospodyni! zgadnij co ci stary przywiózł?

HANNA.

Co takiego? Gadaj!

WALTER.

Ciekawym, czy cię to ucieszy?

HANNA

Zobaczymy. Zależy od tego, co to będzie.

WALTER.

A więc bywaj zdrowa!

HANNA.

Bywaj zdrow!

JERZY.

Pójdę z panem. Dobranoc pani Henszlowej.

HANNA.

Przecie pan chciałeś się z moim mężem rozmówić.

JERZY.

Innym razem. Nic spieszego.

WALTER.

Jeżeli chcesz z nim pogadać, odłóż to lepiej do jutra Jerzyku. Ma on dziś inną sprawę na głowie. — No, gadaj gospodyni, wiesz co ci przywiózł?

HANNA.

Cóż mi miał przywieźć? Nie paplaj tyle!

WALTER.

Otóż przywiózł ci — twoją córkę!

HANNA.

Co mi przywiózł? Nie zrozumiałam!

WALTER.

Byliśmy w Quolsdorfie po nią — po twoją córkę!

HANNA.

Popiliście się pewno obaj — co?

WALTER.

Jesteśmy trzeźwi, mówię na serjo.

HANNA.

Kogo przywiózł?

WALTER.

Nie mi o tem z góry nie powiedział. Przyjechaliśmy do Quolsdorfu i poszliśmy do karczmy.

HANNA.

I co dalej?

WALTER.

Siedzieliśmy tedy w karczmie, a po chwili przyszedł twój ojciec i przyprowadził twoją dziewczynę.

HANNA.

To nie jest moja dziewczyna.

WALTER.

Tego ja tam nie wiem. Tyle wiem, że Henszel ją zabrał. Podeszedł do twego ojca i powiedział, że jest ładna. — Później wziął ją na rękę i zaczął pieścić. „Czy mam cię zabrać?“ zapytał jej się. A ona chciała zaraz z nim pójść.

HANNA.

A cóż mój ojciec na to?

WALTER.

Nie znał on przecie Henszla.

HANNA.

Coraz lepiej! No cóż dalej?

WALTER

zwraca się bardziej do Jerzego.

Dalej niewiele więcej było. Wyniósł dziewczynkę na dwór i powiedział: „Posadzę ją też na konia”, a ona na to „jechać, jechać.” Wtedy wsiadł na swego wielkiego Brabanta, a ja musiałem mu podać dziewczynę. Powiedział „do widzenia” i ruszył z kopyta.

HANNA.

A ojciec na to pozwolił?

WALTER.

Cóż miał robić? Cały Quolsdorf mógł śmiało wyruszyć. Co Henszel raz trzyma w ręku — nie radziłbym nikomu na świecie mu odbierać. Nikt w całym powiecie nie odważy się z nim zacząć, gdy zły. Ojciec nie wiedział z początku, co się stało. Zaczął straszliwie jęczeć, wrzeszczał i kłął co się zmieści. Ludzie się śmieli. Znali oni przecie Henszla, ale ten spokojnie powiedział: „Bywaj zdrów ojcie Schäl, zabieram ją. Matka już na nią w domu czeka”. „Przestań trąbić”, dodał jeszcze, „a w tedy i dla ojca znajdzie się u nas miejsce”.

JERZY.

Adieu! Wolę przyjść jutro.

Wychodzi.

HANNA.

I on myśli, że ja ją tu zatrzymam? Nigdy! Za nic na świecie! To nie moje dziecko! Jakże się teraz ludziom na oczy pokażę? Najprzód w Quolsdorfie, potem tutaj! Czy się nie dosyć już namęczyłam? Dzień i noc musiałam być przy Guci. Znowu się zacznie mordęga. Jeszcze czego! Niech on się ma na bacności!

HENSZEL

wchodzi, także w futrzanej szubie i w wysokich butach, w pończochach myśliwskich, spodniach skórzanych i t. d. tak jak zsiadł z konia. Wprowadza sześciolletnią dziewczynkę, bardzo brudną, w łachmanach.

HENSZEL

żartobliwie, powołując się na ostatnie słowa Hanny.
Któż to powinien się mieć na bacności?

HANNA.

E! Nie wiem!

HENSZEL.

Patrzno, Hanno, kto tu przyszedł!

Do dziewczynki.

Idźno, Berciu! i powiedz: Dobry wieczór, po wiedz: Dobry wieczór mamó.

BERCIA

rozstawszy się niechętnie z Henszlem, który ją kilkakrotnie, dobrodusznie popycha w stronę matki, idzie przez przekątnię pokoju, do zagniewanej Hanny siedzącej przy piecu.

HANNA.

gdy dziecko zatrzymuje się przed nią bezradnie.

Czego tu chcesz?

BERCIA.

Jechałam na ładnym koniku.

Henszel i Walter śmieją się serdecznie.

HENSZEL.

A zatem — zatrzymujemy ją tutaj. — Jak się masz Haniu? — Cóż to, gniewasz się?

HANNA

Przecie miałeś wrócić dopiero w Poniedziałek?
Nie mam dla ciebie nic na wieczерzę.

HENSZEL.

Znajdzie się chyba kawałek chleba i szynki.

Zawiesza czapkę.

HANNA.

szarpie szorstko Bercię.

Jak ty wyglądasz?

HENSZEL.

Będiesz jej musiała ubranie sprawić. Nie długo spadną z niej te łachy. Szczęście że miałem ze sobą grubą derę, bo jeszczeby mi w drodze zmarzła.

Zdejmując futro, grzeje rękę, po chwili.

Najlepiej — włożyć od razu do balji.

HANNA

mimowoli.

Najlepiej gdybyś ją tam zostawił, gdzie była!

HENSZEL.

Co mówisz?

HANNA.

Nic, nic.

HENSZEL.

Zdawało mi się żeś coś powiedziała. Otóż na-
przód do balji, potem do łózka. Wartoby jej też
głowę wyczesać. Boję się, że ma lokatorów.

Bercia płacze.

Co to? nie szarp że jej tak.

HANNA.

Nie becz dziewczyno! Tego tylko jeszcze bra-
kowało!

HENSZEL.

Bądź dla niej choć trochę miła. Dziewczyna
jest wdzięczna za każde słowo. Cicho Berciu, cicho!

BERCIA.

• Chcę iść do tatki.

HENSZEL.

Jesteś u mamy. Mama dobra.—Jestem bardzo
kontent, że ją tu mamy. Był już po temu czas
najwyższy. Później musiałbym ją chyba na cmen-
tarzu szukać.

HANNA.

Nie jest tak źle, jak gadasz.

HENSZEL

zdziwiony, dobroduszenie

Jakto? nie jest tak źle?

Pauza.

WALTER.

Teraz bywajcie zdrowi, wynoszę się.

HENSZEL.

Zaczekaj. Wypijemy szklanekę grogu.

HANNA.

Skąd wezmę araku?

HENSZEL.

Mogłabyś przecie przynieść od Wermelskircha.

HANNA.

Nie chcę mieć do czynienia z tymi ludźmi.

WALTER.

Nie! Dziękuję! Muszę jechać do domu, nie mam czasu. Mam jeszcze pół godziny drogi przed sobą.

Do Hanny.

Nie bój się, nie będę ci siedział na karku.

HANNA.

Któż tu o tem mówił?

WALTER

w złym humorze.

I ja nic nie mówiłem. Niech mnie Bóg broni. Przegadałabyś mnie. Z tobą trudna sprawa. Do widzenia. Bądźcie zdrowi!

HENSZEL.

Bywaj zdrow! Kłaniaj się swojej żonie. Nie zapomnij!

WALTER

wychodząc.

Dobrze! Dziękuję! Będę pamiętał.

Wychodzi.

HENSZEL.

No? Czy nie dobrze zrobiłem?

HANNA.

Co ja teraz ludziom powiem?

HENSZEL.

Nie będziesz się chyba wstydzić swego dziecka?

HANNA.

A któż to powiedział? Mnie tam wszystko jedno. — Ty widać chcesz, żeby mnie obgadywali! Chodzi ci widać o to!

Do Berci szorstko.

Pij prędko mleko. A potem ruszaj spać.

Bercia pije.

HENSZEL.

Czy to tak zawsze będzie?

HANNA.

A cóż ja złego robię?

HENSZEL.

Niby względem dziewczyny?

HANNA.

Nie zjem jej przecie, przysięgam.

Bierze płacząc cicho dziewczynę i niesie do komory.

HENSZEL

mówi do Hanny, znajdującej się w komorze

Nie przyszła tu po to, byś ją miała zjeść!
Nie po to ją przywiozłem!

Mala pauza.

HANNA

wraca sama.

HENSZEL.

Gdyby też człowiek wiedział, jak wam dogodzić. Trudno wytrzymać z wami, babami. Udawałaś przecie zawsze, że..

HANNA

zła, płaczliwie.

To kłamstwo — nieprawda!

HENSZEL.

Co jest kłamstwo?

HANNA

jak wyżej.

Nigdy ci nie mówiłam o Berci. Ledwie raz wspomniałam.

HENSZEL.

Tego też nie mówię! Czego jęczysz? — Właśnie dla tego, że nic nie mówiłaś. Chciałem ci pomóc, żebyś mówić nie potrzebowała.

HANNA.

A nie mogłeś mi się zapytać? Trzeba się przecie zapytać, zanim się taką rzecz zrobi.

HENSZEL.

Słuchaj no! Powiem ci coś! Dziś Sobota. Spieszyłem się, jak mogłem, aby tylko być w domu. Myślałem, że przyjmiesz mnie inaczej. Skoro tak nie jest — to już odmienić tego nie mogę. Proszę cię więc tylko, daj mi pokój. Rozumiesz?

HANNA.

Nikt ci spokoju nie odbiera.

HENSZEL.

Rozumiesz? Chcę spokoju, nie więcej! Nie złego nie myślałem. Gucia nie żyje, nie wróci już. Matka ją do siebie zabrała. Łóżko jej puste, a my jesteśmy sami. Dla czego nie mieliśmy zao-piekować się tą dziewczyną? Tak sobie myślałem, choć nie jestem jej ojcem. Tybyś tembardziej powinna tak myśleć, bo jesteś matką tego dziecka.

HANNA.

Otóż mamy! Już mi to wyrzucasz!

HENSZEL.

Jeżeli w tej chwili nie przestaniesz, pójdę do Wermelskircha i przez całą noc nie wrócę. Chcesz mnie chyba z domu wypędzić? Zawsze myślę, że się tu u nas kiedy poprawi, tymczasem coraz gorzej. Myślałem, że jak będziesz miała swoją dziewczynę, to wrócisz do rozumu. Jeżeli się to nie skończy prędko...

HANNA.

Jeżeli ona zostanie w domu, a ty będziesz gadał ludziom, że to jest moja dziewczyna...

HENSZEL.

Wszak to wszyscy wiedzą. Cóż mam gadać?

HANNA.

— to możesz z pewnością liczyć na to, że stąd ucieknę.

HENSZEL.

Uciekaj, zmykaj, co możesz, dokąd chcesz. Powinnaś się wstydzić! Tfu!

Koniec aktu trzeciego:

AKT CZWARTY.

Oberża Wermelskircha. Pokój płytki, malowany na biało; na lewo drzwi, prowadzące do głębi domu. Ściana z lewej strony ku prawej tworzy w środku róg, przedłużony pod kątem prostym do głębi sceny. W ten sposób powstaje druga część pokoju, w rodzaju kurytarza, zakończona dość odległą tylną ścianą. Prawa boczna ściana tej kurytarzowej przestrzeni, jest jednocześnie ścianą przedniego pokoju oberży. Znajdują się w niej drzwi, prowadzące na dwór, bardziej zaś ku przodowi na lewo okno. — Przy ścianie tylnej na lewo ustawiony bufet z czworograniastymi butelkami wódki, przyrządem do nalowania piwa, kieliszkami, szklankami i t. d. Meble z drzewa wiśniowego, politurowane na jasno: stoły i krzesła. Czerwona zasłona dzieli przestrzeń przednią od tylnej kurytarzowej. W tej ostatniej tak samo kilka stołów i krzeseł. W samej głębi bilard. — Na ścianie wiszą oleodruki, przedstawiające same sceny myśliwskie.

WERMELSKIRCH

w szlafroku, paląc długą fajkę, siedzi przy pianinie, stojącym przy ścianie na lewo i gra.

Trzech członków ochotniczej straży ogniowej: grają w bilard.

Na przodzie na prawo Hauffe, na którym znać upadek, zamyślony nad szklanką wódki.

WERMELSKIRCHOWA

stara kobieta z powierzchownością cyganki, myje szklanki za bufetem.

FRANCISZKA

si edzi, z wyciągniętymi nogami na desce okiennej, bawiąc się małym kotkiem.

Kelner Jerzy stoi przed stołem szynkownianym, przed nim kufel piwa. Ubrany w elegancki kostjum wiosenny, w lakierki, rękawiczki glansowane, w cylindrze na głowie.

WERMELSKIRCH

gra i śpiewa.

Kiedym w Arkadyi mieszkał kraju
Pieniądzem miał i własny lud....

JERZY

wykonywa podczas tego ruchy w takt.

Dalej jazda naprzód!

WERMELSKIRCH

kasze sztucznie.

Nie idzie — straszna chrypka! Wogóle — co tu gadać. — Jeszcze raz od początku.

Kiedym w Arkadyi...

Kasze.

Kiedym w Arkadyi mieszkał kraju,
Pieniądzem miał... pieniądzem miał...

Ee! Niech diabli wezmą!

JERZY.

Dalej, jazda naprzód! Było zupełnie dobrze.
Zupełnie w porządku!

WERMELSKIRCH.

Chyba wam tę aryję odkaszle, ze śpiewem nie idzie.

JERZY.

Nie rozumiem. Przecie to była prawdziwa kameralna muzyka.

WERMELSKIRCH.

Tak z kamery obskurnej.

JERZY.

Jak pan tam chcesz. Nie znam tak dalece różnicy. A czego to panna Franciszka się śmieje?

FRANCISZKA.

Bo pan Jerzy ma takie piękne lakierki.

JERZY.

A jak by panna chciała? Przecie trudno chodzić boso! Proszę jeszcze o szklanę piwa. A jakby to było z kieliszkiem gdańskiego goldwasseru, panno Franiu? — Prawda, prawda, że mam ładne lakierki. Kosztowały mnie też cztery bite talary. Można sobie na to pozwolić. Człowiek na to przecie pracuje. Przynajmniej teraz pod „Mieczem” porządnie się zarabia. Zapewne, gdy byłem jeszcze pod „Gwiazdą”, nie mogłem nosić lakierowanych butów.

WERMELSKIRCH.

Więc pan uważa, że pod „Mieczem” lepiej?

JERZY.

No, chyba. Takiego przyjemnego szefa, jak teraz, nigdy jeszcze nie miałem, od czasu, gdy pracuję w tym fachu. Żyjemy ze sobą, jak dwaj przyjaciele — prawie, jak dwaj bracia — mógłbym mu mówić „ty.”

WERMELSKIRCH.

Co prawda, to z Siebenharem jakoś by się to nie dało.

Franciszka wybucha śmiechem.

JERZY.

Otóż widzicie państwo — pycha musi ponieść karę! Za dwa — trzy tygodnie będzie u niego licytacja. Przyjdę sobie kupić jego złoty zegarek.

WERMELSKIRCH.

To kup pan już lepiej cały dom.

JERZY.

Zawczasem na to. Jeszcze trzeba zaczekać. A zresztą, wszak dom już sprzedany. A zatem — zdrowie Wasze, moi państwo — wiwat!

Trąca się z obecnymi i pije.

Gdy wypijecie, dostaniemy więcej. — Nabywca nazywa się Exner? Czy to prawda? Będzie on podobno tylko napelniał butelki wodą mineralną i rozsyłał je. Restaurację chce wydzierżawić. Zarazbym ją sam wziął, gdybym miał pieniądze.

HAUFFE.

Idź pan do Henszla. On panu da.

JERZY.

A może to nie jest takie niemożliwe, jak się wam wydaje.

HAUFFE.

O, wiemy, .wiemy. Jesteś pan bardzo dobrze z jego żoną!

Franciszka wybucha śmiechem.

JERZY.

Dlaczego nie? Niebrzydka kobietka, słowo honoru! Baby jadają z ręki temu, kto wie, jak się brać do nich.

HAUFFE.

Jeżeliś pan doprowadził do tego, że Henszlowa
jada panu z ręki, to musisz się znać na rzeczy.

FABIG

*wchodzi ze sznurem od wózka na plecach. Siada
skromnie na boku.*

JERZY.

Mówię właśnie! Nie każdy to potrafi, co ja.
Gdyby człowiek nie był zawsze na miejscu, to
nieraz by co oberwał.

WERMELSKIRCH.

Jeszcze nie „nastał zmierzch wszystkich dni”
zawczasie jeszcze się chwalić. Jeszcze nie koniec!

Siebenhar wchodzi z lewej strony.

Gdy Henszel wali, to drzazgi lecą. — Sługa uni-
żony, panie Siebenhar!

SIEBENHAR

nieco blady.

Dzień dobry!

JERZY.

Pójdę sobie trochę na billard
Bierze piwo i znika za firanką w tylnym przedziale.

SIEBENHAR

siada przy stoliku, niedaleko pianina.

Śpiewałeś pan przed chwilą. Nie przeszkadzaj
sobie, proszę.

WERMELSKIRCH.

Co? Ja śpiewałem? To niepodobieństwo! Jestem tak wzruszony. Ale gdy pan to mówi, musi być prawda. Pozwoli pan usiąść przy sobie? Jedno Grodziskie — Franciszko!

SIEBENHAR.

Tak przed trzema, czterema laty — o ile sobie przypominam — byłeś pan zupełnie ochrypły. Wyleczyłeś się pan prawie.

WERMELSKIRCH.

Cóż mi z tego. Masz pan słuszość. Człowiek się tu jako tako wygrzebał. — Ale teraz — kto wie co będzie dalej?

FRANCISZKA.

stawia kufel Grodziskiego piwa przed Siebenharem.

Zaraz dla ojca przyniosę!

SIEBENHAR

pije, po chwili.

Jakto, co dalej będzie? O czym pan mówisz?

WERMELSKIRCH.

Nie wiem jeszcze nic na pewno — ale widzi pan — wszystkie kości mnie swędzą. Zdaje mi się, że się pogoda odmieni. Bez żartu — ja to zaraz czuję — stara rutyna komedyjancka. Wtedy gdy tutejsze wody tak skutecznie na mnie działały, wiedziałem, że mnie stąd dziesięć koni nie wyciągnie. Nie upłynęło i cztery tygodnie, a zwinąłem swoją aktorską budę. Teraz — będę pewnie na nowo pchać tę przekłętą taczkę. Kto wie dokąd?

SIEBENHAR.

Tak, kto wie dokąd! Tak jest na świecie. Ja, przyznam się, że co do mnie, to jestem z tego zadowolony.

WERMELSKIRCH.

Cóż pan? Pan jesteś jeszcze w kwiecie wieku. Taki człowiek wszędzie na świecie znajdzie odpowiednie miejsce. Co innego taki stary pies jak ja. Gdy stracę tutaj ten kawałek chleba, — to jest gdy mi wymówią oberżę, co mi wtedy pozostanie? Sprawię sobie chyba katarynkę. Franciszka będzie zbierała pieniądze.

FRANCISZKA.

Wcale bym się nie wstydziła!

WERMELSKIRCH.

Wierzę, gdyby zamiast deszczu, padały dukaty.

FRANCISZKA.

Co też papa zawsze za rzeczy gada! Mógłbyś przecie powrócić na scenę.

WERMELSKIRCH.

Chyba do małpiego teatru, moje dziecko.

SIEBENHAR.

Czy pan Exner dał panu co do zrozumienia? Mnie mówił, że wszystko wogóle w całości pozostawi tak jak jest!

WERMELSKIRCH.

Widać, że ja wogóle nie należę do całości.

WERMELSKIRCHOWA

podchodzi do stołu w wielkim rozdrażnieniu.

Muszę panu powiedzieć panie Siebenhar — Wierz mi pan, panie Siebenhar — jestem stara kobieta, mam już piędziesiąt lat. Doprawdy nie jedno przeżyłam. Ale to, co nas tutaj spotkało — to jest doprawdy — nie wiem już wcale — to jest prawdziwa podłość, panie. Nikczemne łajdactwo, prawdziwa niegodziwość, panie!

WERMELSKIRCH.

Oj, matko! Tylko ty mi jeszcze nie zaczynaj. Cofnij się. Racz unieść swoją osobę za ten szaniec!

Pokazuje na bufet.

WERMELSKIRCHOWA.

Co nasza biedna Frania zrobiła tej nikczemnej babie?

FRANCISZKA.

Mamo! dajże pokój!

WERMELSKIRCHOWA.

Przeciwnie! będę gadała! Czyż mogę spokojnie to wszystko znosić? Czy nie wolno nam się bronić, gdy ta kobieta chce nas pozbawić kawałka chleba? Gdy rozpowiada rzeczy o mojej córce — —

Do Siebenhara.

Czy dziecko to kiedykolwiek panu ubliżyło?

WERMELSKIRCH.

Mamo, mamo! Teraz możesz już stąd odejść! Ot tak! Wypocznij sobie. Ta scena poszła już

wcale nieźle. Dziś wieczorem odbędzie się znowu próba.

Bierze ją za rękę i prowadzi za bufet szynkowniany, gdzie Wermelskirchowa przez chwilę lka jeszcze.

WERMELSKIRCH.

wraca na miejsce.

Prawdę mówiąc, ma ona słuszość. I do mnie już doszły szept, że Henszel chce szynk wziąć w dzierżawę. Rozumie się, że w tem jest głowa jego żony.

HAUFFE.

A czyjaż głowa mogła by w tem być? Gdy jakie świństwo zdarzy się we wsi, nie potrzeba się dopiero pytać, czyja to sprawa. W tej Henszlowej chyba djabeł siedzi.

FABIG.

Czyha ona już dawno na szynk.

SIEBENHAR.

Cóż to się z wami dzieje, Hauffe? Nie widać was wcale.

HAUFFE.

A cóż by się dziać miało? Bieda dzieje się zemną, nieszczęście. A wepchnęła mnie w nie ta sama przeklęta baba. Przecie tak, a nie inaczej! Z Henszlem byliśmy zawsze jak najlepiej.

FABIG.

Teraz żona jego nosi spodnie!

HAUFFE.

Nie jestem już dosyć zwinny. Prawda, że już człowiek nie należy do najmłodszych. Nie zdalby

się też już do baraszkowania z dziewczętami, a jej właśnie o to chodzi. Ale dla tego — pracować potrafię. Zakasowałbym jeszcze ze trzy razy tych młodzików, których ona teraz godzi — — próżniaki same!

SIEBENHAR.

Szkoda starego Henszla!

HAUFFE.

Skoro on jest kontent, cóż to mnie obchodzi. A powinien wiedzieć; skąd się to wzięło, że dziś mam sztywne kości. Nie przyszło to z próżniactwa, dalibóg! Jeżeli on ma, tam w alkierzu skrzynię pełną złota, to w tem jest dużo mojej krwawicy!

SIEBENHAR.

Pamiętam sam bardzo dobrze, żeście jeszcze służyli u ojca Wilhelma Henszla.

HAUFFE.

Wiadomo że tak! A konie Wilhelma pasłem przez przeszło osiemnaście lat. Zaprzęgałem, wyprzęgałem, zimą i latem byłem w podróży. Jeździłem do Freiburga, do Wrocławia, — musiałem powozić, aż do samej Bydgoszczy. Nie jedną noc przepędziłem na wozie. Odmroziłem ręce i nogi, na obu nogach mam od mrozu guzy, jak gruszki. A teraz mnie odpędził, teraz jużem nie potrzebny.

FABIG.

Wszystkiemu ta baba winna. On sam dobry człowiek.

HAUFFE.

A po co ją brał? Niech sobie teraz sam radzi. Nie mógł się już doczekać. Ledwie, że nieboszczka ostygła, wyprawił drugie wesele.

SIEBENHAR.

Przecie jej nikt tak dalece nie znał.

FABIG.

Znałem ja ją dobrze. Gdyby mnie się zapytał, powiedziałbym mu —! Jeżeli chciał Gucię posłać do matki, to nie było lepszego środka, jak dać jej Hannę za macochę.

HAUFFE.

Tak, tak — nie powiem nic więcej o tem. Nie jeden już na to głową kiwał. Ale się to kiedyś wyda. Wtedy ludzie się tylko dziwili, a dziś się już okropnych rzeczy domyślają.

SIEBENHAR.

Wszystko to bajki i plotki!

Wchodzi handlarz koni Walter, wysokie buty, kurtka myśliwska, czapka i bicz. Siada przy jednym ze stolików i daje znaki Franciszce, która mu po chwili przynosi piwo.

HAUFFE.

To tak pan mówi, ale to jeszcze nie wiadomo. Gdyby jednak umarli mogli wracać i gadać, to stara Henszłowa nie jedno miałaby do powiedzenia. Nie mogła ona żyć — a co najważniejsze — nie powinna była żyć.

SIEBENHAR.

Hauffe, ostrożnie! Gdy Henszel kiedy dowie się o tej historii.....

HAUFFE.

Co mi tam „ostrożnie” — Powiem to głośno każdemu. Stara Henszłowa musiała umrzeć. Czy jej

co zadali — tego nie wiem, nie byłem przytem. Ale nie było to naturalne. Była to zdrowa kobieta, mogła jeszcze pożyć z trzydzieści lat.

SIEBENHAR

pije i wstaje.

WALTER.

Mogę zaświadczyć, że ona była zdrowa. Znałem chyba moją siostrę. Przeszkadzała, więc ją usunęto.

SIEBENHAR

wychodzi spokojnie.

WERMELSKIRCH.

Czy kto z panów pozwoli tabaki?

Słumionym głosem, poufnie po aktorsku.

A może panowie posuwacie się zbyt daleko? Spójrzcie no na tego człowieka. Nie dalej, jak wczoraj wieczorem siedział tu jeszcze. Wzdychał tak ciężko — że aż mi się przykro robiło.

HAUFFE.

Wyrzuty sumienia go męczą.

WALTER.

Nie gadajcie mi o Henszlu. Stoi mi już kością w gardle. Skończyliśmy dawno ze sobą.

WERMELSKIRCH.

Protestuję! Pan Siebenhar ma słuszość. Szkoda tego człowieka!

WALTER.

Wolno Siebenharowi gadać, co chce — wszystko mi jedno. Ale co mam myśleć o Henszlu... tego mnie nikt uczyć nie potrzebuje.

Henszel i kowal Hildebrant wchodzą z prawej strony. Henszel niesie na ręku małą Bercię, ubraną staranniej, niż poprzednio. Mała pauza wskutek zmieszania obecnych.

WERMELSKIRCH.

Witam, witam, panie Henszel!

HENSZEL.

Dzień dobry całemu towarzystwu!

FRANCISZKA.

Jak się masz Berciu?

HENSZEL.

Powiedz: dziękuję panience. Nie umiesz mówić? Przecie mamy się jako tako. Trzeba się tem kontentować. Dzień dobry, szwagrze.

Podaje obojętnie rękę Walterowi, który ją chwytą równie zimno.

Co słychać? Jak się masz?

WALTER.

Jako tako! Nie zaszkodziło by, gdyby było lepiej. — Ale z ciebie to czysta niańka.

HENSZEL.

Masz słuszość. Co prawda, to prawda.

WALTER.

Nie widać cię już wcale bez tej dziewczyny? Czy nie mozesz jej zostawić przy matce?

HENSZEL.

Szoruje ona i gospodaruje ciągle, przeszkadza jej tylko małeństwo.

Siada na ławce przy ścianie obok bufetu, niedaleko szwagra, trzymając dziecko na kolanach. Naprzeciwko niego Hildebrant.

Jakże tam, panie majster? Czego się napijemy? Myślę, żeśmy zarobili na kufel piwa. — Dwa kufle piwa i dwie śiwuchy!

HILDEBRANT.

Uderzyło mnie to ścierwo kopytem.

HENSZEL.

Czyste żrebię, a ma siłę, jak cztery konie. — Dzień dobry, Hauffe.

HAUFFE

mruczy.

Dzień dobry!

HENSZEL.

— — O! Zły czegoś. Dajmy mu pokój!

FABIG.

Kup pan co odemnie, panie Henszel. Może igielnik dla pani Dobrodziki, a może ładny grzebień do zatknięcia we włosy!

Obecni śmieją się.

Kelner Jerzy też taki sam kupił.

HENSZEL

śmieje się dobroduszenie wraz z innymi.

Dajcie mi pokój z takimi głupstwami.

Do Wermelskircha.

Daj mu pan też kufel piwa na mój rachunek. —
Zabawny człowieczek. Skądże się wziął tutaj?

HILDEBRANT.

Zdaje mi się, że to jest Fabig z Quolsdorfu.
Najbardziej szczwana szelma w całym powiecie.

HENSZEL.

Wszak i ten robak jest z Quolsdorfu

FABIG

do Berci.

O! My się dobrze znamy! Nie prawdaż?

BERCIA

do Fabiga.

Chcę orzeszków z cukru!

FABIG.

Widzicie państwo.... Wie ona już, com ja za
jeden. Zobaczę — może co znajdě.

BERCIA.

Tam — we wózku!

FABIG.

Nie — mam je w kieszeni.

Daje dziecku cukierki.

No! Widzisz dziewczyno! Trudno ci się jakoś
wydostać z knajpy. Dawniej zabierał cię dziadek,
dziś włóczysz się z Wilhelmem Henszlem.

HENSZEL.

Słuchaj, no ty... O mnie się nie troszcz!
Dam sobie radę!

JERZY

wchodzi żywo z pokoju bilardowego.

JERZY

nie widząc Henszla.

Nigdybym nie uwierzył. A to zabawne!

Śmieje się.

Teraz proszę o piwo, ale na kredę, panno Franciszko. Jest nas pięciu!

FRANCISZKA

trzyma Bercię na ręku i idzie do bufetu.

Bercia nie pozwala. Nie mogę teraz.

JERZY.

Co widzę! I pan majster Henszel tutaj!

HENSZEL

nie zwracając uwagi na Jerzego, do Hildebranta.

Twoje zdrowie Hildebrant.

Trącają się i piją.

FABIG

do Jerzego, który nieco zmieszany zapala cygaro, przy jednym ze stolików.

Powiedz pan, panie Jerzy, czy potrafisz czarować?

JERZY.

Dla czego? O czym pan mówisz?

FABIG.

Znikłeś pan przed chwilą tak nagle!

JERZY.

Pocóż naraząć się na podobne spotkania? Raz na zawsze nie zgadzamy się z Siebenharem.

FABIG^o

wykonywa mimikę policzka.

Ludzie powiadają, że piorun uderzył.

Śmieje się. W przejściu do Hauffego.

Czy wygrałeś wielki los na loteryi?

HAUFFE.

Małpo przekłeta!

wszyscy się śmieją.

FABIG.

Prawda, prawda. Jestem małpą.

HENSZEL.

Czy to prawda, że jesteś teraz u Rentwicha?

HAUFFE.

A cóż to kogo obchodzi?

HENSZEL

śmieje się ze spokojem

A to przekorna szelma. Gdzie go dotknąć, kłuje jak jeź.

WALTER.

A więc niezadługo będziesz tutaj naszym gospodarzem?

HENSZEL

patrzy na niego przez chwilę zdziwiony.

Nie mi o tem nie wiadomo.

WALTER.

Mślałem. Nie pamiętam, kto mi mówił.

HENSZEL.

pije, po chwili obojętnie

Temu co ci to powiedział, musiało się chyba śnić.

Pauza.

HILDEBRANT.

Wszystko się tu zmieni w tym domu. Tyle wiem tylko, że wszyscy jeszcze będziecie żałować Siebenhara!

HENSZEL

do Hauffego.

Mógłbyś kiedy pójść do Łańcuta. Mam tam parę koni cugowych. Mógłbyś mi je tu przyprówadzić.

HAUFFE.

Możesz mnie — — rozumiesz?

HENSZEL

śmieje się spokojnie.

Od dziś dnia, choćbyś zdychał, nie troszczę się już o ciebie.

HAUFFE.

Wymieć śmiecie przed własnymi drzwiami.

HENSZEL.

Dobrze, już dobrze. Niech tak będzie!

HAUFFE.

Masz dosyć brudów we własnym domu!

HENSZEL.

Słuchajno, Hauffe. Niechętnie to zrobię. Ale jeżeli szukasz tu awantury, uprzedzam cię, że cię wyrzucę za drzwi.

WERMELSKIRCH.

Pst! Spokojnie, moi panowie, spokojnie!

HAUFFE.

Nie jesteś tu jeszcze gospodarzem. Nie wolno ci mnie wyrzucać. Nie masz tu więcej do powiedzenia, jak ja. Nie pozwolę sobie gęby zamknąć, ani przez ciebie, ani przez twoją babę. Możecie sobie czekać, co się wam podoba, — tyle mnie to obchodzi.

HENSZEL

bez widocznego wzruszenia chwytą Hauffego za piersi, wstaje, pcha go pomimo daremnego oporu tegoż, tyłem ku drzwiom. Przy szklanych drzwiach odwraca się otwiera kłamkę lewą ręką i wyrzuca Hauffego. Podczas tej sceny prowadzi się taka rozmowa:

HAUFFE.

Puszczaj, mówię. Puszczaj! powiadam ci!

WERMELSKIRCH.

Panie Henszel, tego niewolno. Na to nie mogę pozwolić!

HENSZEL.

Uprzedziłem cię. Teraz już trudna rada.

HAUFFE.

Chce mnie udusić! Puszczaj mówię! Nie jesteś tu gospodarzem!

WERMELSKIRCHOWA

z poza bufetu.

Co to znaczy? Cóż to znowu, Ludwiku! Nie możesz pozwolić na takie rzeczy!

FABIG

gdy Henszel znajduje się już z Hauffem niedaleko drzwi.

Dajcie państwo pokój. Nie ma rady. Ten człowiek to istny anteleta. Ugryzie on w stół zębami i podniesie go w górę tak, że się na nim nawet kieliszek od wódki nie przewróci. Jeżeli mu się tylko spodoba, powiadam wam, to wszyscy będziemy za minutę na dworze!

Po wyrzuceniu Hauffego Henszel powraca.

HENSZEL

siada wśród ogólnej ciszy.

Nie ma się od tego gburą spokoju.

PIERWSZY CZŁONEK
OCHOTNICZEJ STRAŻY OGNIOWEJ

który podczas tego wszedł z pokoju bilardowego i wypił kieliszek wódki przy bufecie.

Chciałbym zapłacić. Lepiej stąd wyjść. Można się też jeszcze za drzwiami znaleźć.

WERMELSKIRCH.

Co tam! Wypij pan lepiej jeszcze kufel piwa. Przecie tymczasem ja tu jestem gospodarzem.

WALTER.

Słuchaj no Wilhelmie! Jeżeli tak będziesz postępował, gdy tu za szynkwasem staniesz jako gospodarz, na miejscu Wermelskircha.— to mówię ci z góry, nie utrzymasz gości.

HENSZEL.

Nie chodzi przecie o takich gości.

WALTER.

Trudno ich wybierać. Wszak i Hauße nie płaci fałszywemi pieniędzmi.

HENSZEL.

Dla mnie — niech płaci czem chce. Ale teraz jeszcze raz ci mówię: nie powtarzaj tej historii. Nigdy nie obejmę tego szynku. Gdybym miał to zrobić, musiałbym pierwszy wiedzieć chyba o tem. — Rozumiesz? Jeżeli kiedy kupię oberżę, powiem ci to od razu. Wtedy będziesz mi dawał rady. A gdy ci się nie będzie u mnie podobało i nie będziesz przychodził — mój Boże — to i tak się pocieszę, szwagrze!

Członek ochotniczej straży ogniowej wychodzi, trzaskając drzwiami.

WALTER.

Trzeba się też wynosić!

Płaci.

WERMELSKIRCH.

Panie Henszel! Nie rozumiem, do prawdy — — Wypędzasz mi pan wszystkich gości!

HENSZEL.

Ludzie, ludzie! Powiedzcie mi, com ja winien, że on uciekł? Dla mnie niech siedzi tutaj, choćby do jutra rana.

WALTER

chowa napowrót pieniądze z wzrastającą porywcznością.

Nie twoja to rzecz wyrzucać stąd ludzi. Nie jesteś tutaj gospodarzem!

HENSZEL.

A może jeszcze co wiesz?

WALTER.

Człowiek nie jedno wie, ale milczy. Ciekawe historie! Wermelskirch najlepiej je zna!

WERMELSKIRCH.

Ja? Jakim sposobem?

HENSZEL

spokojnie i stanowczo.

Co pan wiesz? He? Gadać, jazda! Jeden wie to, drugi owo; — a obaj razem wiecie figę!

Pauza.

WALTER.

zmienionym tonem.

Gdybyś tak był tym samym, co dawniej, ale — diabli wiedzą, co się z tobą stało. Wtedy miałeś znaczenie. Ludzie przychodzili z dalekich stron po radę do Wilhelma Henszla. A co powiedział, to było — można rzec — jak amen w kościele. Teraz sobie z tobą nie można zupełnie poradzić.

HENSZEL.

Dalej! Jazda!

WALTER.

Właśnie. Sam to chyba uważałeś. — Dawniej też miałeś samych przyjaciół, dziś pies do ciebie nie zajrzy. Gdyby czasem może i kto miał ochotę przyjść, powstrzymuje się, z powodu twojej baby.

Przez dwadzieścia lat Hauße wiernie wam służył, odrazu — nie spodobał się pani, a ty — bierzesz go za krawat i wyrzucasz za drzwi. Co to ma znaczyć? Dosyć, żeby mrugnęła, a ty natychmiast skaczesz, zamiast złapać mocny powróż i wygnać jej muchy z nosa.

HENSZEL.

Jeżeli nie zamilknie — natychmiast, to i ciebie za krawat wezmę!

JERZY

do Henszla.

Szanowny panie! Nie unosi się pan tylko. Wiąże pan, ten człowiek nie potrafi się inaczej wyrażać.

Wychodzi spiesźnie do pokoju bilardowego.

WALTER.

Oj, tak, Wierzę! Gdy kto ci się ośmieli powiedzieć prawdę, wyleci oknem. Ale za to nie poń taki, takie marne ściierwo, jak ten Jerzyk, śmiało cię dzień i noc może okłamywać — on i twoja żona na wyścigi. Chcesz być okłamywanym, więc niech cię okłamują. Ale skoro masz jeszcze oczy w głowie, otwórz że je nareszcie, obejrzyj się wokoło i spojrzysz jasno na tego nieponia — oszukują cię oni przecie w biały dzień.

HENSZEL

chce się rzucić na niego. Hamuje się.

Coś powiedział? Co — — — Nie. Już dobrze.

Pauza.

FABIG.

Prawdziwie kwietniowa pogoda. To słońce świeci — to deszcz pada.

HAUFFE

głos na dworze.

Zapłacę ja ci. Uważaj dobrze. Nie bój się—
pogadamy jeszcze z sobą — w sądzie pogadamy.

WALTER

wypija i wstaje.

Adje! nie bierz mi za złe!

HENSZEL

obejmuje lewą ręką przedręcze Waltera.

Zostaniesz tu! Zrozumiałeś?

WALTER.

Czego jeszcze chcesz odemnie?

HENSZEL.

Dowiesz się! Tymczasem — mówię tylko , że tu
zostaniesz.

Do Franciszki.

Idź do mnie i powiedz , żeby moja żona tu przyszła.

Franciszka wychodzi.

WERMELSKIRCH.

Ależ kochany panie Henszel — na Boga — nie
rób pan tutaj awantur. Zwali mi się na kark po-
licja. — Nie wiem — —

HENSZEL.

*wybuchając straszliwie z szaloną wściekłością , z twa-
rzą sino-czerwoną.*

Wszystkich was -- tutaj prędeż zamorduję za-
nim —!!! Ale Hanna musi tu przyjść — tutaj na
to miejsce!

WALTER.

Wilhelmie, Wilhelmie, nie rób głupstw! Nie chciałem przecie nic takiego powiedzieć — doprawdy że nie! — Zresztą ludzie bają same kłamstwa. —

HILDEBRANT.

Wilhelmie! Dobry chłop z ciebie! Wróć że do rozumu! Jakże ty wyglądasz? Zastanów się? Zmilkuj się na Boga. Ryczaleś formalnie. Co ci się stało? Wszyscy w całym domu musieli to słyszeć.

HENSZEL.

Niech słyszy kto chce!

do Waltera.

Ale ty tutaj zostaniesz, a Hanna tu przyjdzie!

WALTER.

Na cóż mam tu zostać? Nie wiem do czego? Twoje sprawy mnie tam nie obchodzą. Nie mieszam się do nich i nie chcę się mieszać!

HENSZEL.

Trzeba było wcześniej tak gadać!

WALTER.

A co tam mamy jeszcze ze sobą, to już sąd rozstrzygnie. Zobaczymy, komu dadzą rację. Przyjdę ja do swoich pieniędzy. Może się twoja żona jeszcze namyśli, zanim wykona fałszywą przysięgę. Inne twoje interesa nie obchodzą mnie, — nie mam czasu. Spieszę się, nie mogę dłużej czekać.

SIEBENHAR

wraca.

SIEBENHAR.

Co się tutaj stało?

WERMELSKIRCH.

Mój Boże — właśnie nie wiem! Nie rozumiem,
o co panu Henszlowi chodzi.

HENSZEL.

Niech tu Hanna przyjdzie — nic więcej!

Trzymając bez przerwy rękę Waltera.

WERMELSKIRCHOWA

do Siebenhara.

Ludzie siedzą sobie spokojnie i piją piwo, na
to wchodzi pan Henszel i zaczyna awanturę, jak
gdyby to on był panem w tym domu.

SIEBENHAR

uspakaja ją gestem.

Pst! Pst! Dosyć.

Do Henszla.

Co się stało, panie Henszel?

HENSZEL.

Nie moja to wina, proszę pana. Nie moja to
wina, że się tak złożyło. Możesz pan myśleć, co
chcesz, nie moja wina.

SIEBENHAR.

Co też wygadujesz stary? Przecie cię znam,
jako spokojnego człowieka.

HENSZEL.

Przecie tu już byłem za nieboszczyka pańskiego
ojca. A choć rzeczywiście wygląda na — to

nie moja to wina, co będzie. — Sam nie wiem, co ja takiego popełniłem. Nigdy przecie nie byłem awanturnikiem. — Ale teraz, tak się jakoś składa. Gryzą mnie wszyscy i drapia! Ten człowiek powiedział o mojej żonie rzeczy, których musi dowieść. Inaczej: niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece!

SIEBENHAR.

E! Nie zważaj pan na ludzkie gadanie!

HENSZEL.

Dowodów, dowodów! — albo niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece!

WALTER.

Mogę dowieść i dowiodę! Mało tu chyba jest takich, którzyby tego nie wiedzieli równie dobrze jak ja, że żona twoja jest na złej drodze! Nie moja wina, nie powiedziałbym tego — ale nie pozwolę sobie w twarz pluć! Nie jestem kłamcą, prawdę mówię! Spytaj kogo chcesz. Zapytaj się na sumienie, choćby pana Siebenhara. Wróble na dachach przecie o tem śpiewają — i w dodatku — jeszcze o innych rzeczach.

SIEBENHAR.

Namysł się nad tem, co gadasz, panie Walter.

WALTER.

On mnie do tego zmusza. Niech mnie puści. Czemuż ja mam cierpieć za innych. Przecie i pan wiesz o tem wszystkiem równie dobrze, jak ja. Byłeś pan z nim w najlepszych stosunkach za życia nieboszczki jego pierwszej żony! Myślisz pan, że

ludzie o tem nie wiedzą. Dziś nie przejdiesz pan jego progu za nic na świecie.

SIEBENHAR.

Co się nas obu tyczy, to są sprawy prywatne. Zakazuję mieszać się do nich komukolwiek.

WALTER.

Ale gdy komuś umiera najprzód żona, dotąd najzdrowsza w świecie kobieta, a w dwa miesiące później Gucia, — to chyba myślę — nie są już prywatne sprawy.

HENSZEL.

Co — co? Niech tu Hanna przyjdzie.

HANNA

wchodzi prędko i nagle, prosto od roboty, ocierając sobie ręce.

HANNA.

Czegóż tak strasznie ryczysz?

HENSZEL.

Dobrze żeś przyszła. — Ten człowiek mówi....

HANNA

chce wyjść.

Przebrzydła głupota?

HENSZEL.

Zostaniesz tu!

HANNA.

Pewnieście się tu wszyscy popili? Co to znaczy? Czy myślisz, że pozwolę drwić z siebie?

Chce wyjść.

HENSZEL.

— Hanno — radzę ci.. Ten człowiek mówi, że...

HANNA.

Dla mnie — niech sobie gada, co chce!

HENSZEL.

... że mnie oszukujesz na wszystkie strony!

HANNA.

Co? Co? Co? Co?

HENSZEL.

Czy tak jest? Czy wolno mu tak gadać? I że..
że moja żona...

HANNA.

Ja? Kłamstwo przekłete!

Zakrywa oczy fartuchem i ucieka.

HENSZEL.

I że ja.. moja żona... że my oboje... że nasza
Gucia... Dobrze już, dobrze!

Puszcza rękę Waltera i charcząc pochyla głowę na stół.

WALTER.

Nie pozwolę nazywać mnie kłamcą!

Koniec aktu czwartego.



AKT PIĄTY.

Pokój jak w pierwszych trzech aktach. Noc. Światło księżycowe jasne pada przez okno. Pokój pusty, kilka dni upłynęło od wypadków czwartego aktu.

W komorze ktoś zapala światło. Po chwili wychodzi Henszel z zapaloną świecą w blaszanym lichtarzu. Ubrany w skórzane spodnie i pantofle. Idzie zwolna do stołu, niezdecydowany ogląda się, to po za siebie, to ku oknu, później stawia lichtarz na stole i siada przy oknie. Opiera głowę na rękę i patrzy na księżyc.

HANNA

mówi niewidzialna z komory.

Mężu! Mężu! Cóż tam robisz. Wiecznie pokutujesz po nocy!

Zagłąda na wpół do pokoju.

Chodźże spać! Przecie noc jest od spania. Nie będziesz mógł znowu jutro wyjechać. Znowu będziesz leżał jak stary siennik, a na dworze wszystko przepadnie.

Wchodzi zupełnie do pokoju, nieubrana, prosto z łóżka, zbliża się do Henszla, patrząc na niego badawczo i bojaźliwie.

Co tu robisz?

HENSZEL.

Ja?

HANNA.

Czego tak siedzisz i nie odzywasz się do mnie?

HENSZEL.

Patrzę na obłoki. —

HANNA.

Ludzie, ludzie! A to można oszaleć! Chciałabym tylko wiedzieć, co tam jest w górze tak szczególnego. To ci mordęga noc w noc. Człowiek już zupełnie nie ma spokoju! Czegóż tak siedzisz? Odezwij się!

HENSZEL

pokazuje na niebo.

Tam one są.

HANNA.

Czy ci się śni? Słuchajno, Wilhelmie! Zbudź że się! Połóż się do łóżka, wyśpij się już raz przecie! — Tam są obłoki i nic więcej.

HENSZEL.

Kto ma oczy, ten widzi!

HANNA.

A kto jest pomieszany, ten traci rozum.

HENSZEL.

Ja nie jestem pomieszany.

HANNA.

Tego przecie nie powiedziałam, ale gdy się będziesz tak dalej zachowywać, możesz się stać nim. Drży z zimna, ubiera się w kaftanik i poprawia po-grzebachem popiół w piecu.

HENSZEL.

Która godzina?

HANNA.

Kwadrans na drugą.

HENSZEL.

Przewiesiłaś tutaj zegar. — Wisiał on przecie dawniej przy drzwiach.

HANNA.

Co też ty masz za pomysły! Wisi, jak zawsze.

HENSZEL.

wstaje.

Pójdę na chwilę do stajni.

HANNA.

Idź spać mówię ci — albo narobię krzyku. Nie masz teraz w stajni nic do roboty! W nocy powinienieś być w łóżku.

HENSZEL

stoi spokojnie i patrzy na Hannę, po chwili.

Gdzie jest Gucia?

HANNA.

Czego chcesz znowu od niej? Leży ona w łóżku i śpi. Ciągłe ci ta dziewczyna w głowie. Nic jej się nie stanie. Nie robię jej nic złego.

HENSZEL.

Tak! nic jej się nie stanie. Poszła spać... Wczesnie się spać położyła — Gucia! O niej mówię — nie o Berci.

HANNA

z płaczem zatyka sobie usta fartuchem.

Ucieknę stąd, nie zostanę w tym domu.

HENSZEL.

Idź spać, idź! Przyjdę tam zaraz. Teraz się płacz na nic nie zda. Kto winien, wie jeden Bóg. Nie twoja wina. Nie becz! Pan Bóg i ja — oboje prawdę wiemy.

Zamyka drzwi na klucz.

HANNA

otwiera je spiesźnie.

Poco zamknąłeś drzwi? Nie pozwolę się tu zamykać!

HENSZEL.

Rzeczywiście nie wiem, po co zamknąłem.

HANNA.

Ludzie zawrócili ci głowę. Odpowiedzą ciężko za to kiedyś, co ci mówili. — Hodowałam twoje dziecko, jak moje własne. Od tego z pewnością nie umarło by. Ale umarłych wskrzesić nie potrafię. Kto ma umrzeć ten umiera. Trudno go powstrzymać, musi stąd odejść. Gucia zawsze była kiepska. Wiesz o tem tak dobrze, jak ja. Czegóż więc pytasz ciągle i patrzysz na mnie tak, jak gdybym z nią, Bóg wie, com zrobiła.

HENSZEL

niedowierzająco.

Może to być — nie jest to niemożliwe.

HANNA

wścickała.

Niechby mi to kto wtedy powiedział — wołałabym była pójść zebrać. Ludzie, ludzie — gdybym to była wcześniej wiedziała! I takich rzeczy trzeba słuchać spokojnie. Przecie chciałam stąd odejść. Któż mnie to nie chciał wypuścić? Któż mnie zatrzymał w tym domu? Znalazłabym wszędzie zarobek! Nie bałam się o to! przecie potrafię pracować. Aleś mnie nie puścił. Teraz mam za swoje! Teraz muszę cierpieć!

HENSZEL.

Może być — prawdą; teraz musisz cierpieć. Jak się zdarzy, to się zdarzy. Cóż na to poradzić?

Znowu zamyka drzwi na klucz.

HANNA.

Otwórz Wilhelmie — albo będę krzyczeć o pomoc.

HENSZEL.

Pst! Cicho! Słyszalas! Chodzi po korytarzu. Idzie do stągwi z wodą. Słyszysz, jak pluska? stoi i myje się.

HANNA.

Wilhelmie! Mężu! Śni ci się! Przecie stągiew jest tutaj!

HENSZEL.

A jakże! Wiem ja wszystko dobrze. Mnie nie można wmówić. Kto wie, to wie!

Spiesznie.

Nie więcej nie powiem. Chodź, chodź. Pójdziemy spać: z czasem znajdzie się rada.

Podczas gdy Henszel idzie ku komorze, Hanna otwiera zamek u drzwi i wymyka się.

HENSZEL

zdejmuje bicz, leżący na ramie drzwi, prowadzących do komory.

Ho, ho! To moje stare tryjesteńskie biczysko! Skąd się tu wzięło to stare biczysko? Dawno — przeszło rok już nie widziałem go. — Kupiłem jeszcze za czasów mojej starej.

Nasłuchuje.

Co mówisz? — A jakże! — No — naturalnie! — Nie! A dla czegożby nie? Dobrze, już dobrze! — Wiem ja już co zrobię. — Nie będę się upierał. — I ty daj pokój.

Przez uchylone drzwi wchodzi Siebenhar. Gestami daje znaki idącym za nim: Wermelskirchowi i Hannie, aby pozostali w tyle. Zupełnie ubrany, tylko zamiast kołnierzyka ma jedwabną chustkę na szyi. Wermelskirch w szlafroku.

SIEBENHAR.

Dobry wieczór panu? Co to? Nie śpisz jeszcze? Czyś pan niezdrów?

HENSZEL

patrzy na niego przez chwilę, potem mówi z prostotą.

Nie mogę spać! Wziąłbym na sen, żebym wiedział, że mi to pomoże. Nie wiem, co mi się stało. Bóg wie co, się tu dzieje!

SIEBENHAR.

Powiem ci coś stary przyjacielu! Połóż się teraz do łóżka, a jutro rano przyślę doktora do pana. Musisz teraz przedsięwziąć coś na serjo.

HENSZEL.

Pewnie mi żaden doktor nie pomoże!

SIEBENHAR.

Nie uprzedzaj się pan — zobaczymy. Doktor Richter zna się [na rzeczy. Żona moja nie spała przez kilka tygodni, a głowa pękała jej z bólu. We środę zażyła proszek, a teraz sypia przez całą noc, jak zabita.

HENSZEL.

Tak, tak! Może być! Byłbym i ja kontent, gdybym mógł usnąć! Czy pani naprawdę chora?

SIEBENHAR.

Co prawda to my wszyscy nie bardzo jesteśmy w porządku. Gdy ten przekłety poniedziałek przejdzie, znowu się jakoś rzeczy ułożą.

HENSZEL.

Zapewne pan zdajesz wszystko w poniedziałek nowemu właścicielowi?

SIEBENHAR.

Spodziewam się, że skończę wszystko do poniedziałku. Tymczasem jest tyle do roboty, — spisujemy inwentarz—, że prawie się nie rozbieram. Mój panie Henszel! Idź teraz spać! Słuchaj: jednemu dokucza to, innemu owo. Życie nie jest zabawką; wszyscy musimy pchać swoją taczkę. A jeżeli ci tam co po głowie chodzi, nie bierz tego zbytnio do serca.

HENSZEL.

Bardzo, bardzo dziękuję, panie Siebenhar. I proszę pana: przebacz mi pan, jeżeli się kiedy co złego stało! Żyj pan szczęśliwie wraz z żoną.

SIEBENHAR.

Cóż to stary? Wszak jutro znowu się zobaczymy. Nie masz też potrzeby mi dziękować.

Świadczyliśmy sobie nieraz nawzajem przysługi, będąc tutaj sąsiadami. To się skończyło — z pewnością; ale byliśmy przyjaciółmi i nie wątpię, że nimi zostaniemy.

HENSZEL.

*w milczeniu robi kilka kroków ku oknu, przez które
wygląda.*

Takie to są sprawy, proszę pana. Czas nie stoi w miejscu. Karolek też już nas nigdy nie odwiedzał. — — Co tu gadać! Przecie to racja. Nie nauczyłby się on też tu nic dobrego. Dawniej tutaj inaczej bywało.

SIEBENHAR.

Teraz już nierozumiem cię zupełnie.

HENSZEL.

I pan też nie byłeś już tutaj — pewno ze trzy kwartały.

SIEBENHAR.

Zawiele miałem na głowie w ostatnich czasach.

HENSZEL.

Dawniej w takich wypadkach tembardziej przychodziłeś do mnie. Nie, nie! Wiem ja dobrze, o co chodzi. Masz pan też rację. Wszyscy mają rację. Nie ma się czem u mnie tak dalece popisywać.

SIEBENHAR.

Wypocznij teraz stary.

HENSZEL.

Co to szkodzi! Możemy przecie o tem pogadać. Widzi pan ja sam winien jestem wszystkiemu.

Wiem, że jestem winien i koniec. Ale zanim się jeszcze ożeniłem — niby z Hanną, to już się zaczęło i tak powoli.. powoli szło coraz gorzej. Złamał mi się najprzód bicz fiszbinowy. Później — dokładnie sobie przypominam — przejechałem swego psa, najlepszego jakiego miałem. Potem padły mi jeden za drugim trzy konie, między niemi ten piękny ogier za trzysta talarów. Na ostatku umarła mi żona. Wiedziałem i myślałem sobie, że i na mnie teraz przyjdzie kolej. Ale ponieważ poszła sobie moja żona, była taka chwila jedna, że pomyślałem — a może i będzie dosyć! Już mi wiele zabrać nie można. A jednak tak się stało! Nie mówię o Guci. Gdy się straci żonę, traci się i dziecko. Ale założono na mnie sieci i sam w nie wlażłem.

SIEBENHAR.

Któż to założył te sieci?

HENSZEL.

Może dyjabeł, a może kto inny. To pewne, że się muszę udusić.

Pauza.

SIEBENHAR.

To jest nieszczęśliwy pomysł!

HENSZEL.

Nie, nie! Wcale się nie sprzeczam! Wiem, że stałem się podłym, nie mogę na to poradzić. Jakoś tak stopniowo w to wlażłem. A może to i moja wina. Kto wie? Trzeba było lepiej uważać. Dyjabeł nie śpi. Ja, bo zawsze chodziłem prostą drogą.

SIEBENHAR.

Panie Henszel! Jesteś swoim własnym nieprzyjacielem. Bijesz się z widmami, które nigdy nie istniały. Djabeł ci nic nie zrobił, nie wpadłeś w żadną sieć, ani też nikt cię nie dusi. Wszystko to są brednie — niebezpieczne urojenia!

HENSZEL.

Zobaczmy — możemy poczekać.

SIEBENHAR.

Powiedz mi pan wyraźnie, o co chodzi. Zobaczysz, że niewiesz nic takiego. Nie jesteś złym ani też nie masz — jak to utrzymujesz — żadnej winy na sumieniu.

HENSZEL.

Wiem ja to lepiej.

SIEBENHAR.

Jakaż to wina?

Pauza,

HENSZEL.

Tu w tem miejscu stało łóżko, a ona w niem leżała — tutaj jej przecie przyrzekłem... Przyrzekłem i zламаłem słowo.

SIEBENHAR.

O jakim to pan mówisz przyrzeczeniu?

HENSZEL.

Wszak pan wiesz dobrze! — — Złamałem słowo; — przepadło — Z tą chwilą skończyło się. — Przegrałem — — Widzi pan — teraz nie może ona znaleźć spokoju.

SIEBENHAR.

Czy pan mówisz o nieboszczce żonie?

HENSZEL.

Tak, tak. Mówię o niej! Nie może -ona znaleźć spokoju w grobie. — — Czyszcę konie, ona stoi. Biorę sito do owsa — a ona stoi za bydlętami. Chcę wejść do łóżka, tam w komorze — a ona stoi i patrzy na mnie. — Przewiesiła ona zegar na inne miejsce, stuka w ścianę, drapie w szyby. — Kładzie mi palec na piersi, a zdaje mi się, że się duszę, nie mogę oddychać. O! wiem dobrze co mówię. Trzeba samemu przejść przez taką rzecz, żeby to zrozumieć. Tego nie można opowiedzieć. Oj, przeszedłem ja, przeszedłem, wierz mi pan!

Pauza.

SIEBENHAR.

Jeszcze jedno słowo, ostatnie. Słuchaj stary, zbierz gwałtem wszystkie siły, stań na obie nogi. Idź do lekarza i poradź go się, Pomyśl sobie: „jestem chory, jestem bardzo chory“ — ale odegnaj te widma. To są urojenia mózgu — fantazje!

HENSZEL.

Takeś pan i wtedy mówił. Mówiłeś pan tak samo, albo podobnie.

SIEBENHAR.

Być może! I podtrzymuję to zdanie. Co się tyczy tego małżeństwa, to pan miałeś zupełne prawo tak postąpić. Nie może tu być mowy o żadnym grzechu, ani winie.

Ukazuje się Wermelskirch.

WERMELSKIRCH.

Panie Henszel! Chodź do mnie. Zapalimy gaz i zagramy w karty. Napijemy się piwa, lub czego tam zechcesz, i zapalimy fajki. A potem — niech duchy tylko przyjdą! Za dwie godziny będzie biały dzień, napijemy się kawy i pojedziemy na spacer. Żeby nawet sam djabeł się w to wdał — musisz pan zostać dawnym Henszlem.

HENSZEL.

Może być — możemy spróbować.

WERMELSKIRCH.

A zatem — jazda.

HENSZEL.

Do pana nigdy nie przyjdę.

WERMELSKIRCH.

Z powodu tej głupiej historii wtedy—? Głupstwo! To było tylko nieporozumienie. Wszystko się przecie wyjaśniło. Hauffego nie wpuszczam więcej. W samej rzeczy, jest on zawsze pijany. E! co tam! W gorączce niejedno się mówi. Powinno to wejść jednym uchem, a wyjść drugim. Ja sam zawsze tak robię.

HENSZEL.

Byłoby też tak najlepiej! Masz pan rację. Ale nie — do szynku nigdy nie przyjdę. Będę może dużo jeździł. Chyba nie będą wszędzie za mną chodziły. A teraz dobrej nocy. Chce mi się też spać.

SIEBENHAR.

A możebyś poszedł do mnie, panie Henszel? U mnie jeszcze jasno, a w biurze napalone. Urządzimy małą gierkę we troje — i tak się już nie położę.

HENSZEL.

Moglibyśmy tak zrobić — tak, tak! Dawno już nie grałem w karty.

HANNA.

Bardzo dobrze! Idź z panem. Przecie i tak nie możesz spać.

HENSZEL.

Nie pójdę! czy zrozumiałaś?

HANNA.

Ha! Jeżeli zostaniesz, to ja stąd wyjdę. Kto wie, co jeszcze będziesz dziś w nocy wyprawiał? Znowu zaczniesz się bawić nożem! Tak, tak! Wczoraj ciągle to robił. Człowiek niepewny swojego życia!

HENSZEL.

Ani myślę chodzić tam do niego. Pierwszy mi doradził, abym tak zrobił. A potem — był pierwszy, co mną pogardził.

SIEBENHAR.

Panie Henszel! Nigdy tobą nie gardziłem. Jesteś nawskroś człowiekiem honoru. Nie wmawiaj sobie głupstw. Los nieraz człowieka nawiedza. Trzeba to znosić — to niełatwo. Jesteś pan chory, ale pozostałeś zacnym, jak byłeś. Jestem gotów położyć za to rękę w ogień!

HENSZEL.

Gdyby to było prawdą, proszę pana! — Ale dobrze już, mówmy o czem innem. Nie pańska to wina — wszak to zawsze mówiłem. Co do mego szwagra — to i jego nie mogę potępiać. Wie on zapewne, od kogo to słyszał. — Chodzi ona przecie między ludzi i ciągle im to gada. — Jest ona wszędzie — to tu, to tam. Była pewnie i u swego brata.

WERMELSKIRCH.

Ależ zlituj się, człowieku! Kto chodzi między ludzi? Żywa dusza już o tem nie myśli. Tę całą historję o której gadali, wszyscy już zapomnieli.

HENSZEL.

Zostanie mi to już — — — Można kręcić, jak się chce. Wie ona już dobrze, jak się wziąć do rzeczy. Jest ona wszędzie, wszystkim to wmówi. A gdyby ludzie nawet przemilczeli tę historję, a nie szczuli mnie ze wszystkich stron, jak psa — trudna rada, to i tak już mi zostanie.

SIEBENHAR.

Nie odejdziemy stąd, panie Henszel, dopóki sobie tego nie wybijesz z głowy! Musisz się zupełnie uspokoić!

HENSZEL.

Wszak już jestem zupełnie rozsądny — jestem spokojny!

SIEBENHAR.

Bardzo ładnie! Bądźmy zatem zupełnie szczerzy. Widzisz pan przecie, jak pańska żona żałuje tego co zaszło. Kelner wyjechał, jest już daleko — nigdy go więcej nie zobaczysz. Każdemu się może

noga poślizgnąć. Teraz więc poprostu podajcie sobie ręce. Pochowajcie, co trzeba pochować i — niech będzie pokój między wami.

HENSZEL.

Nie potrzebuję żadnego pokoju.

do Hanny.

Ale pomimo to — mogę ci podać rękę. Żeś popełniła błąd, niech cię za to Pan Bóg sądzi. Nie chcę cię za to potępiać. Gdybym tylko — — co do Guci — gdybym tylko wiedział coś pewnego.

HANNA.

Zabijcie mnie na miejscu, jeżeli chcecie. Niech tu trupem padnę, jeżeli Gucię pozbawiła życia!

HENSZEL.

Właśnie mówię to przecie — to już mi zostanie. No, jutro będziemy mogli dalej gadać. Zanim wszystko obgadamy, wiele jeszcze wody upłynie.

WERMELSKIRCH.

Napał pan sobie porządnie w piecu i ugotuj gorącej kawy. Po deszczu słońce zaświeci. Tak to zawsze bywa między małżeństwem. Nie ma małżeństwa bez burzy. Ale po burzy wszystko lepiej wschodzi. Główna rzecz: a, a, a, a, —

Robi ruch, jak gdyby kołysał dziecko.

To rzecz konieczna, musicie sobie coś podobnego sprawić.

Uderza jowialnie Henszla w plecy.

Stary lubi takie rzeczy — postarajcie się i zafundujcie sobie taką zabawkę. Raz, dwa, trzy, — Wilhelmie Henszel, do djabła! taki olbrzym — cóż łatwiejszego? Dobranoc!

SIEBENHAR.

Wszystko się odnieni — tylko odważnie!

WERMELSKIRCH.

Tylko zawsze zimna krew i trzymać się ciepło.

Siebenhar i Wermelskirch wychodzą.

HENSZEL

idzie z wolna ku drzwiom i chce je zamknąć.

HANNA.

Nie zamykaj!

HENSZEL.

Jak chcesz! Co tam robisz?

HANNA

*która raptem się zerwała i stoi przed otworem pieca,
gdzie nieciła ogień.*

Przecie widzisz! Palę w piecu!

HENSZEL

usiadł ciężko przy stole.

Zapal też lampę, jeżeli chcesz.

Otwiera szufladę w stole.

HANNA.

Czego tam szukasz?

HENSZEL.

Nic.

HANNA.

Więc zamknij szufladę.

Sama podchodzi i zamyka.

Czy chcesz, żeby się jeszcze Bercia obudziła?

Pauza.

HENSZEL.

W poniedziałek wyprowadzi się, zostaniemy sami.

HANNA.

Kto się wyprowadzi w poniedziałek?

HENSZEL.

Przecie Siebenhar. Kto wie, jak to będzie z tym nowym.

HANNA.

Nowy bogaty — nie będzie pożyczał od ciebie.

HENSZEL.

Hanno! Jedno z nas musi ustąpić! Z nas obojga. Tak jest! Nie patrz tak na mnie. Jedno z nas — nie będzie inaczej!

HANNA.

Mam stąd odejść? Wypędzasz mnie?

HENSZEL.

Dopiero się pokaże, kto stąd musi odejść. Może ja, a może ty. Gdybym ja stąd odszedł... wiem ja dobrze: nie płakałabyś po mnie. Dajesz sobie radę z furmanką jak mężczyzna. Ale nie o to chodzi.

HANNA.

Jeżeli jedno z nas stąd musi odejść — ja odejdę. Mam jeszcze dosyć sił. Pójdę gdzie mnie oczy zaniosą! Konie, wozy, cały dobytek, wszystko to twoje. Przecie nie możesz wyjść z ojcowizny. Więc ja stąd odejdę — skończy się!

HENSZEL

To jeszcze niewiadomo — zobaczymy.

HANNA.

Po co długo jęczeć? Co się skończyło, to się skończyło.

HENSZEL

wstając ciężko i idąc do komory.

A Bercia? Co się stanie z dzieckiem?

HANNA.

Powróci do mego jca do Quolsdorfu.

HENSZEL

we drzwiach komory.

Daj pokój. Jutro mamy znowu dzień przed sobotą. Wszystko się odmieni, jak mówi pan Siebenhar.

Wszedł do komory.

Jutro wszystko będzie inaczej wyglądało.

Pauza.

HENSZEL

niewidzialny.

Już znowu Bercia w potach.

HANNA.

Niech się trochę wypoci — nie nie szkodzi.
I mnie przechodzą ciarki. Takie życie—

Otwiera okno.

—to lepsza śmierć.

HENSZEL.

Co tam gadasz? Nie rozumiem.

HANNA.

Otwórz uszy i daj mi pokój.

HENSZEL.

Czy nie przyjdiesz tu?

HANNA.

Zaraz będzie dzień.

Nakręca zegar.

HENSZEL.

Któż to tam zegar nakręca?

HANNA.

Stul pysk! Jeszcze by tego brakowało, żeby
się Bercia obudziła. Będzie znowu przez godzinę
ryczała.

Siada zwolna przy stole, opierając się na obu łokciach.
Najlepiej by było wynieść się stąd.

SIEBENHAR

zagląda po chwili.

Wracam jeszcze. Czy mąż spokojniejszy?

HANNA.

Spokojniejszy. Położył się spać.

Wola.

Mężu, mężu!

SIEBENHAR.

Pst! Moja pani! Podziękuj Panu Bogu i sama
połóż się spać.

Odchodzi.

HANNA.

Cóż mam robić? Spróbuję!

*Idzie ku komorze, u drzwi zatrzymuje się, zdziwioną
nasłuchuje.*

Wilhelmie! Znowu mnie chcesz straszyć?

Głośniej z bojaźnią.

Wilhelmie! Mężu! Mógłbyś też odpowiedzieć!
Czy myślisz, że nie wiem, że jeszcze nie śpisz?

Coraz bojaźliwiej.

Mężu! Mówię ci...

Bercia się obudziła i płacze.

Berciu, ale teraz się uspokój! Dziewczynno, teraz
stanie się coś złego:—Wilhelmie! Wilhelmie!

Krzyczy prawie.

SIEBENHAR

znowu zagląda.

Co tam znowu?

HANNA.

Krzyczę ciągle, a on nie odpowiada.

SIEBENHAR.

Czy pani zmysły straciła? Co pani robi?

HANNA.

Tak cicho jakoś! Coś się tam stało!

SIEBENHAR.

Co—o?

Bierze świecę i idzie ku drzwiom komory.

Panie Henszel! Czy pan śpisz?

Wchodzi do komory.

Pauza.

HANNA.

nie śmiejąc wejść.

Co się tam dzieje? Co się tam dzieje? Co się stało!

WERMELSKIRCH

zagląda.

Kto tam jest w komorze?

HANNA.

Pan Siebenhar. Tak tam spokojnie. Nikt nie odpowiada.

SIEBENHAR.

ukazuje się pośpiesznie z Bercią na ręku.

Weź pani dziecko i wejdź do mojej żony.

HANNA

już z dzieckiem na ręku.

Dla Boga! Co się stało?

SIEBENHAR.

Dość wcześniej się pani o tem dowiesz.

HANNA

*powstrzymywanym początkowo, następnie przerażli-
wym krzykiem.*

Ludzie! On sobie coś złego zrobił!

Odchodzi z dzieckiem.

WERMELSKIRCH.

Czy iść po doktora?

SIEBENHAR.

Zapóźno! Nic mu już nie pomoże!

Koniec.



